

ISSN 1732-6494

Nr 3/2019 (74)

MIXER

MAGAZYN STUDENTÓW KRAKOWSKIEJ AKADEMII

Czas na
wycieczkę

KAJAKIEM I PIESZO
- WYWIAD

KRAKOWSKA
ZIELEŃ

CZTERY PORY ROKU
NORYLSKA

spis treści

Chcę wam opowiedzieć o Karpaczu, malowniczym polskim miasteczku uzdrowiskowym na Dolnym Śląsku.....	4
Kajakiem i pieszo.....	5
W co pograć za darmo?.....	8
Ludzie wiecznej zimy. Nie, to nie jest Mordor. To Norylsk.....	10
Zastanówmy się dziś nad dziennikarstwem.....	12
„Jeszcze dzień życia” (2018) – reporterska odwaga.....	14
Prezent na każdą okazję.....	15
Tajemnica Trio z Rocky Beach.....	17
Zielony Kraków.....	18
Zniewolenie, na które się godzimy.....	20
W drodze po szczęście.....	22
Blaski i cienie modelingu.....	25
Nowoczesne kształcenie nauczycieli na kierunku pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna.....	27

MIXER magazyn studentów
Krakowskiej Akademii
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

ISSN 1732-6494

Redaktor naczelny:
Mateusz Matłok
mateusz-matlok@wp.pl

Zespół:
Mateusz Matłok
Bohdan Bilyk
Vika Naumenko
Marine Lozan
Julii Rusk
Michał Stępień
Eryk Ubaka
Valeria Yalukova
Julia Gavryshchuk
mgr Aneta Rapkiewicz
dr hab. Jan Wnęk

DTP i layout:
Mateusz Janusz
(hussars.pl)

Adres:
gazetamixer@gmail.com

Druk:
Drukarnia MK Promo

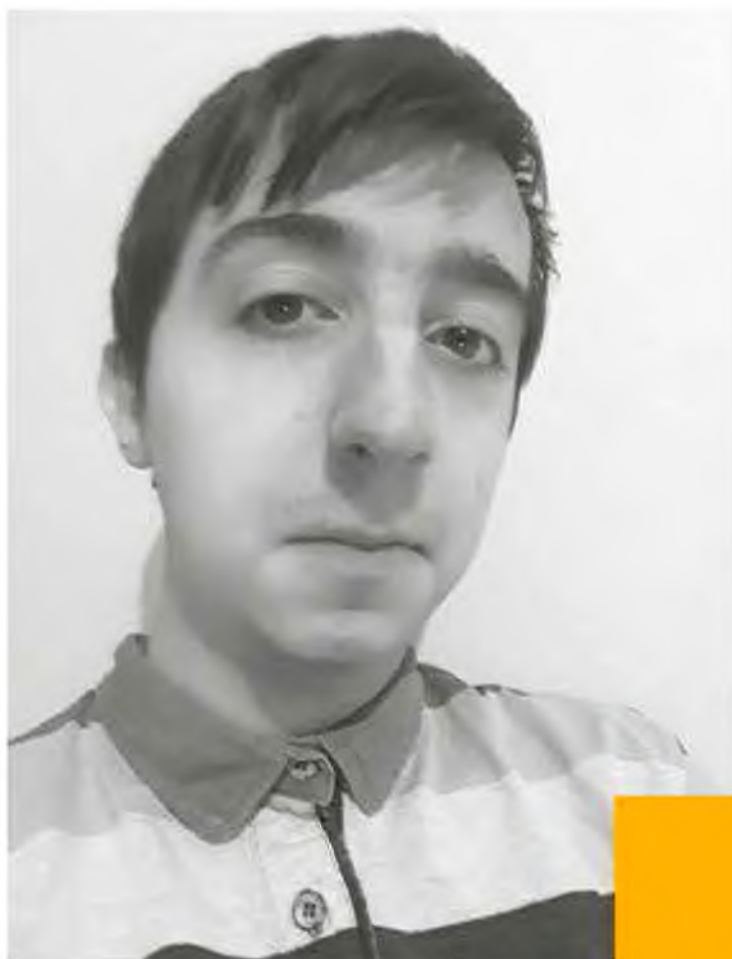
Nakład:
400 egzemplarzy

Opieka redaktorska:
Dariusz Baran
(Wydział Zarządzania
i Komunikacji Społecznej)

Czytaj nas w kolorze na smartfonie lub tablecie pod linkiem:
<https://issuu.com/magazyn-mixer>



i Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie
zwraca tekstów niezamówionych.



od redakcji

Czerwiec już w pełni – czas na wyprawę!

Tak jak po zimie wreszcie wróciły ciepłe dni, tak i my powracamy z kolejnym numerem, by zabrać Was w podróż po niesamowitych miejscach: odwiedzimy m. in. najpiękniejsze krakowskie miejsca zielone (tak, wciąż jeszcze są takowe!), przyjrzymy się także niezwykłości czterech pór roku Norylska, zaś autostopowicze opowiedzą o swoich przygodach oraz doradzą, jak przygotować się na wycieczkę po świecie.

Prócz tego, z wywiadu z Łukaszem Pajakiem dowiedziecie się wszystkiego o kajakarstwie górskim, Yulia Pavliuk opowie o pracy w modelingu, z kolei Olga Belokon przedstawi swoją podróż do Azji Środkowej, snując tym samym opowieść o jej pracy i marzeniach.

W numerze znajdziecie także moją recenzję niezwyklej, chociaż mało znanej polskiej animacji z ubiegłego roku, czyli „Jeszcze dnia życia” traktującej o Ryszardzie Kapuścińskim, krótkie rozprawy o dobrym dziennikarstwie i naszym uzależnieniu od sieci oraz poradnik jak (i ile) zainwestować w prezent, by podnieść jego wartość i satysfakcję płynącą z jego otrzymania.

Miłej lektury!

Redaktor naczelny,
Mateusz Matłok

Zdobądź doświadczenie, poznaj fajnych ludzi, poszerz horyzonty!

Dołącz do redakcji MIXERA!

Napisz na adres:
gazetamixer@gmail.com



Chcę wam opowiedzieć o Karpaczu, malowniczym polskim miasteczku uzdrowskim na Dolnym Śląsku...

Jeżeli myślicie nad tym, gdzie odpocząć w trakcie zimowej przerwy semestralnej, koniecznie odwiedźcie właśnie to miasto.

Położone jest niedaleko Śnieżki, czyli najwyższego szczytu Karkonoszy i Sudetów. Nie ma chyba nic bardziej zapierającego dech w piersiach, niż ujście pięknego miasta, w całej swojej okazałości, ze szczytu takiej góry.

W okolicy znaleźć można sporo atrakcji dla wielbicieli narciarstwa, a więc także aktywnej formy wypoczynku. W sezonie zimowym pracuje tu wiele wyciągów, które umożliwią wam szybką podróż na szczyt, z któ-

rego warto zjechać na nartach albo snowboardzie, bez względu na porę dnia.

Strefa przejazdu sięga przedziału 820-1350 metrów!

Karpacz przypadnie do gustu tak zawodowym, jak i dopiero stawiającym pierwsze kroki narciarzom, a to ze względu na podział tras na skomplikowane i te względnie proste.

Karpacz składa się z dwóch części: Karpacza Dolnego, gdzie mieści się większość hoteli, pensjonatów i restauracji, oraz Karpacza Górnego, w którym znajdują się domy wypoczynkowe.

Stamtąd także możecie planować podróż do Karkonoskiego Narodowego Parku, który rozciąga się na południe od miasta.

Jeśli więc stronicie od szusowania po śniegu, rekomenduję spokojne spacerowanie po malowniczej okolicy. Zatrzymać się możecie m.in. w schronisku „Samotnia”, czyli jednym z najstarszych schronisk w całej Polsce, które słynie z przytulnej atmosfery drewnianych wnętrz i domowej kuchni. Schronisko – co ważne – jest otwarte przez cały rok.

■ **Vika Naumenko**

Kajakiem i pieszo

Myślisz, że jesteś
bohaterem i umiesz
wszystko?

Nie poznałeś Łukasza
Pajaka. Kajakarz górski,
biegacz, cukiernik,
miłośnik i strażnik
przyrody. Świetny
przykład dla młodzieży
i po prostu dobry
współrozmówca,
który chętnie opowiada
i o kajakarstwie, i swoim
życiu.

Powiedzmy, że chcę być kajakarzem górskim. Co muszę zrobić?

Nie musisz mieć kajakowego „prawa jazdy” czy licencji. Trzeba tylko zapisać się do jakiegoś klubu i skończyć kurs kajakarstwa. Są też firmy prywatne, które tego uczą. Poza tym organizowane są wakacyjne kursy na polskich rzekach, gdzie na torach kajakowych można „liznąć” tego tematu.

Na kursie masz wykłady o budowie rzeki, bezpieczeństwie, pierwszej pomocy medycznej, wiązaniu lin, pomaganiu sobie nawzajem, asekuracji, oraz odbywasz ćwiczenia na basenie. A potem już masz wyprawy na rzekach, od najłatwiejszych (Raba, Dunajec) do trudniejszych (Białka).

W Polsce kajakarzy górskich jest tylko dwustu, trzystu, ale tych „dobrych”, co potrafią wiele rzek płynąć, chyba ze stu.

Od kiedy Pan pływa?

Mój ojciec pływał po rzekach nizinnych, więc i ja zacząłem. Byłem wtedy jeszcze w liceum. Spływy kajakowe były w czasach PRL-u bardzo popularne, wybraliśmy się więc na międzynarodowy spływ kajakowy na Dunajcu. Zobaczyłem tam pokaz bezpieczeństwa i asekuracji, prowadzony przez krakowski Akademicki Klub Turystyki Kajakowej „Bystrze”, no i pomyślałem, dlaczego miałbym nie spróbować? Zacząłem bywać w klubie, odbyłem kurs, później zostałem pomocnikiem instruktora, a także prezesem.

Przez te lata zmieniło się kajakarstwo?

Bardzo poprawił się komfort i technika pływania. Dawniej pływaliśmy na kajakach z włókna szklanego, w środku wypełnionych styropianem; dlatego były one bardzo kruche, ale lekkie. Teraz są kajaki z polietylenu, bardzo twardego materiału. Oczywiście nie jest on niezniszczalny, ale pozwala na przykład pokonywać wodospady. Wpłynęło to także na umiejętności kajakarzy, bo teraz poświęcają oni więcej czasu na pływanie, a nie wylewanie wody z kajaka (śmiech).

Klub „Bystrze” ma dobry sprzęt?

Tak. Przeszliśmy na kajaki polietylenowe. Oczywiście mamy nowoczesne kaski, kamizelki, wiosła. Kiedy przychodzi do nas kursant, nie musi mieć własnego sprzętu, tylko dostaje go od klubu.

Skąd na to fundusze?

Ze składek członkowskich, ale też sporo zarabiamy na organizacji spływów dla turystów.

Do wyprawy trzeba się przygotować?

Nie pokonasz rzeki, nie mając o niej wiedzy. Przed spływem zastanawiam się, czy jestem w stanie tę rzekę przepłynąć. Jeżeli mam jakiegokolwiek wątpliwości – to rezygnuję.

Pływać należy w grupie?

Każdy decyduje sam za siebie, czy jest w stanie zejść na wodę, ale już na rzece stanowimy bardzo dobrze zgrany ze sobą team, dzięki temu, że mamy do siebie zaufanie.

Zwykle pierwsza osoba ma największe doświadczenie. Ona wysiada z kajaka żeby sprawdzić dalszą drogę i decydować: płyniemy czy schodzimy. Wszyscy inni czekają przy brzegu na jej decyzje. Czasem, jeżeli jest bardzo niebezpieczny spływ, to zabezpieczamy go od dołu, gdzie ewentualnie czeka na nas jedna lub dwie osoby, na wypadek, gdyby coś się złego działo.

Jakieś sytuacje nieprzewidywalne?

Oczywiście mogą się zdarzyć i zdarzały. Na przykład kiedy zmienia się poziom wody, warunki pogodowe, spada drzewo...

I co wtedy?

Jeżeli da się przepłynąć – przepływamy. Jeżeli nie – wysiadamy, bierzemy kajaki na plecy i obnosimy

Ciężkie są?

Najmniejszy problem. Ciężko jest, kiedy kanion jest głęboki i nie ma możliwości cofnięcia się, i trzeba wówczas przepłynąć trudne miejsce.

A wyprawa przez Grand Canyon Colorado w 2013 roku? Była najtrudniejsza?

Raczej nie. To było coś, co jest znane, przez wielu kajakarzy pokonane.

Co innego płynąć rzeką, którą mało kto dotychczas okiełznał. Tak było w 1986 roku w Himalajach, podczas naszej Canoe Expedition. Płynęliśmy rzeką na dużej wysokości przez niebezpieczne odcinki, nie bardzo wiedzieliśmy, co nas może spotkać za chwilę. To były jeszcze dawne czasy, bez Internetu, komórek, nawigacji i tego typu rzeczy, co dodawało wyprawie trudności. Spływaliśmy całkowicie odcięci od świata.

Grand Canyon... Ile dni tam byliście?

Dostaliśmy pozwolenie na 18 dni. Co ciekawe, wcześniej aż 19 lat czekaliśmy na amerykańską zgodę na ten spływ.

Jak przygotowywaliście się do wyprawy?

Odbывała się ona w parku narodowym, więc najpierw bardzo szczegółowo musieliśmy dowiedzieć się, jak się tam zachować, jaki sprzęt jest niezbędny. Obowiązkowo musieliśmy mieć przenośną toaletę z biodegradacji. Żadne śmieci nie mogły zostać w kanionie. Przygotowując posiłek należało rozłożyć matę, żeby potem resztki jedzenia trafiły do specjalnych koszy. Nic nie wolno było po sobie zostawić. Nawet gdy paliło się ognisko, należało jego pozostałości wyzbierać i zabrać ze sobą. Jedynie siusiac można było tam gdzie się chciało (śmiech). I to jest bardzo słuszne, bo te miejsca są naprawdę czyste. Czuliśmy się na dnie Grand Canyon jak gdzieś w nieodkrytym miejscu.

Jakie mieliście jedzenie?

Specjalnie przygotowane przez firmę raftingową, w wodoszczelnych pojemnikach na śniadanie, obiad, kolację. Tam było wszystko: przyprawy, warzywa. Mrożona żywność wytrzymała przez 18 dni.

A co z wodą?

Przez pierwsze dni czerpaliśmy z rzeki; woda była czysta, ale gdy dwie mniejsze rzeki Colorado połączyły się w jedną wielką, woda stała brązowa od mułu. Musieliśmy ją wieczorami filtrować w trzech wielkich wiaderkach przez specjalny system filtrów. Poło-

wa z tego to był muł, ale z góry mieliśmy czystą wodę i jej używaliśmy.

W Colorado płynie ciepła woda?

Właśnie nie, bo wypływa z dna zbiornika.

Ale widziałem na zdjęciach, że byliście bez rękawic.

Myśleliśmy, że będzie ciepło, bo to pustynia, ale kanion jest na tyle jest głęboki, że okazało się na miejscu, że tam jest... zimno. Pływaliśmy w kurtkach wodoszczelnych; tylko ci, którzy nie wzięli ich ze sobą, pływali z krótkim rękawem i było im zimno.

Wyczytałem, że każdego ranka sprawdzaliście buty?

Tak, czy nie ma skorpionów lub węży, które lubią się tam zagnieździć. No i trzeba było robić dużo hałasu, żeby się przestraszyły i uciekły.

Emocje, wyczyn, niezapomniane chwile w wielkim kanionie – to był wasz cel?

Jasne. Musieliśmy za to sami zapłacić, bo dostaliśmy zgodę na spływ niekomercyjny, nie mogliśmy mieć żadnych sponsorów. Ale pozostało mnóstwo wspomnień, piękne filmy i fotografie, które od kilku lat pokazujemy w całej Polsce na wystawach.

Pan nie tylko pływa, ale i biega...

To także moja wielka pasja. Zaliczyłem pięć maratonów, nawet jakiś medal się trafił. Ale teraz biegam dłuższe dystanse, już nie dla medali, ale dla siebie. W sobotę przebiegłem 120 km.

Bez przerwy?

Oczywiście.

Nieemożliwe...

Też kiedyś tak myślałem. 42 kilometry maratonu wydawały mi się szczytem moich możliwości. I był to wtedy rzeczywiście mój szczyt. Ale potem pobiegałem parę biegów górskich, no i zacząłem biegać coraz dłuższe dystanse: 60 kilometrów, 80. Dwa lata temu po raz pierwszy udało mi się przebiec 100, a w tę sobotę przebiegłem najdłuższy swój dystans – 120 kilometrów.

Ile czasu to zajęło?

Dokładnie: 13 godzin 59 minut i 7 sekund. Biegłem w Roztoczańskim

Parku Narodowym. Nawet zająłem 3 miejsce (śmiech).

Jak się ma bieganie w stosunku do kajaka?

Wymaga mniejszej techniki, a większego wysiłku. Bieganie takich dłuższych dystansów wiąże się z przygotowywaniem organizmu. Nikt, kto biega maksymalnie 10 kilometrów, nie da rady przebiec następnym razem 3-4 razy większego dystansu.

Naprawdę wszystko jest w zasięgu człowieka. Gdy zaczynałem, nie wyobrażałem sobie, że pokonam 100 kilometrów. Biegałem górskie dystanse po 20 kilometrów, biegi terenowe itd. No i po trochu zwiększałem zasięg.

Czy jest to zdrowe dla człowieka?

Tak, bo to aktywność fizyczna – nie ma się „brzucha”, nadwagi. Pod warunkiem odpowiedniego przygotowania, i że się nie przesadza. Bo jeżeli ktoś biega 60 km i zdecydował się na 100, ledwo doczłapał, a potem robi tak co tydzień – to nie jest zdrowe.

Dla mnie najważniejsze jest zmierzanie się ze sobą samym.

Biega Pan ze słuchawkami na uszach?

Tak. Słucham muzyki, ale nie mam specjalnych preferencji muzycznych. Wybieram taką, która ma fajny rytm. No i słucham audiobooków – science fiction czy fantastyki.

Kiedy Pan ostatni raz był w szpitalu?

Nigdy. Jestem zdrowy, nie choruję. Kiedyś tylko miałem zabieg związany z uszami, ale to przeszłość.

Lubi Pan słodkie?

Tak.

I to dlatego ma Pan dwie cukiernie?

Nie, to jest rodzinny biznes. Codzienna robota, która nie wiąże się nie z bieganiem czy z kajakami.

Jakieś inne zainteresowania?

Prowadzę stronę internetową Oszczedzanie.pl. Związana jest z ekologią, zanieczyszczeniem środowiska, odnawialnymi źródłami energii, oszczędzaniem energii. To jest moja pasja, która wynika z tego, że lubię bliski kontakt z przyrodą. No i prawie codziennie zamieszczam tam informa-

cję związaną z ekotransportem, samochodami elektrycznymi, katastrofami ekologicznymi.

Ma Pan samochód na prąd?

Nie, jeżdżę zwykłym.

Ale chciałby Pan kupić?

To kopa pieniędzy...

Uważa Pan, że w Polsce jest czysto?

Teraz myślę że tak, wcześniej tak nie było. Ludzie chodzą i zbierają śmieci, nie wyrzucają ich do potoków czy rowów, bo ustawa związana z gospodarką odpadami tego zakazuje. Czasy się zmieniły; kiedyś, gdy jeździłem na uczelnię, na przystanku tramwajowym widziałem pety, a teraz już większość pali elektroniczne papierosy.

Pan nie pali?

Nie. Kiedyś nieco podpalałem. Od czasu do czasu lubię napić się piwa, ale mocniejszy alkohol mi nie wchodzi.

Lubi Pan koty?

Mam trzy w domu. Jeden się przyplątał, więc pojechaliśmy do schroniska po drugiego, żeby temu się nie nudziło. Rok temu przyplątał się i trzeci. Córki mają radochę

Żona bardzo się przejmuje jak Pan jedzie na wyprawę?

Ona się wywodzi z Warszawskiego Klubu Kajakowego. Tak ją poznałem. I wie, co to jest kajakarstwo górskie, ale też wie, że ja staram się to robić odpowiedzialnie. Więc jak pojawiły się dzieci, to kajakarstwo zeszło na inny plan. Przez brak czasu. Dlatego łatwiej mi założyć buty i pobiegać.

Będzie Pan zachęcał córki do kajakarstwa/biegania?

Raczej nie. One same zdecydują, co w życiu robić. Chociaż pokazuję im, że to jest fajnie i zdrowe, ale zachęcać nie będę.

Gdyby Pana zaprosili na jakąś wyprawę kajakową, znalazłby Pan czas?

Mocno bym się zastanawiał. Zobaczymy, teraz to nie jest dla mnie takim priorytetem.

■ Rozmawiał: **Bohdan Bilyk**

W co pograć za darmo?



Zbliżają się wakacje – będzie dużo wolnego czasu żeby odpocząć. Nie wiem jak wy, ale ja w wolnym czasie lubię sobie pograć.

Tym razem przybliżę wam trzy produkcje, w które można zagrać zupełnie za darmo. Żadnych ukrytych haczyków, wystarczy w miarę dobry komputer lub konsola. Zamykamy tylko drzwi do pokoju, żeby czasem nikt nie przeszkodził nam w kilkugodzinnej sesji, i startujemy!

1. Fortnite: Battle Royale

Gra studia Epic Games (odpowiedzialnego m.in. za Gears of War), która w krótkim czasie zdobyła (zaledwie kilka miesięcy od wydania) niebywałą popularność (3,5 miliona graczy w lutym 2018).

Pamiętacie Igrzyska Śmierci? Tym jest właśnie Fortnite. Stu graczy, jedna mapa, ostatni przy życiu wygrywa. Nad wyspą położoną w niewiadomym zakątku świata przelatuje "bojowy

bus", wypełniony chętnymi do walki graczami. Każdy może w dowolnym momencie wyskoczyć, i używając spadochronu skierować się do dowolnego miejsca na mapie – może być to gęsty las lub też miasto z wielokondygnacyjnymi strukturami. Po wylądowaniu jak najszybciej staramy się zdobyć broń, ponieważ grę zaczynamy tylko z kilofem. Jak w Igrzyskach Śmierci cz.2 – kto zdobędzie broń, automatycznie zyskuje przewagę nad przeciwnikiem. Broni jest mnóstwo. Od skromnych

pistoletów, po granaty grawitacyjne, które pozwalają nam odpychać wroga na dużą odległość. W Fortnite można również zbierać użyteczne materiały budowlane (drewno, kamień i metal), by potem budować z nich np. naszą własną fortecę, w której dzielnie będziemy dawać opór przeciwnikom. Oprócz nich, trafimy m.in. na śmiercionośną burzę, która od początku sesji stopniowo zawęży nam miejsce, po którym możemy się poruszać; w końcowych minutach zostanie nam walka na przestrzeni jednego małego domku lub jednego pagórka. Pagórek ten będzie jednocześnie przyczyną waszego wielkiego szczęścia i wielkiej frustracji (przekonajcie się). Fajną cechą Fortnite jest to, że można grać nawet jeśli nie ma się całej nocy/dnia, i można zagrać tylko kilka rundek, byoderwać się od codzienności i wyluzować, po powrocie z pracy czy szkoły.

Zapomniałem dodać, że w Fortnite działa system mikropłatności (jakoś firma musi zarabiać) oferujący w zamian kosmetyczne ulepszenia dla naszych przedmiotów, postaci itd. Można na przykład ruszyć do boju mając w dłoni stalowo-brązowy kilof w stylu art deco, albo zmienić smugi, które zostawia nasza postać spadając z party busa na wybrany fragment mapy z nudnych białych na ogniowe! Wiem, wydaje się to może idiotyczne, ale z założenia, grając setną czy dwusetną rundę, myślę sobie: skoro gra i tak jest za darmo, to czemu nie wydać 40 złotych chociaż raz, na nowy wygląd?

2. League of Legends

Na pewno wielu z was słyszało o LoL – jednej z najbardziej popularnych darmowych gier z gatunku *multiplayer online battle arena* ostatniej dekady (ligi e-sportowe, zawody, turnieje międzynarodowe, światowej sławy gracze z Korei).. Sam zacząłem grać w LoLa w 2012 i z przerwami (i kilkoma roztrzaskanymi klawiaturami, i myszkami) gram w niego do dzisiaj. Dwie drużyny, po pięciu bohaterów,

i cel, czyli zniszczenie bazy przeciwnej drużyny. Miejsce – jedna, zawsze niezmienna mapa (jaka kreatywność ze strony twórców!), nazywana Summoner's Rift.. Postać wybieramy z dostępnych ponad 100 różnych magów, wojowników, zabójców. Możemy grać małą wiedźmą Annie, która używa magii ognia oraz przywołuje na pomoc wielkiego pluszowego niedźwiedzia, samurajem Yasuo, który wykorzystuje moc wichury, syreną Nami kontrolującą wody przypiływu, chłopcem który oszukał czas. Oprócz samej rozgrywki, do dyspozycji mamy także chat między zawodnikami, który uruchamiamy na własne ryzyko (jest odzwierciedleniem wszystkich frustracji zawodników, którzy potrafią rzucać wiele mało cenzuralnych epitetów na nasz temat). Sam mecz wymaga od gracza skupienia, dużego refleksu, oraz wiedzy o umiejętnościach każdej postaci w obecnym spotkaniu. Trzeba umieć używać swoich zdolności, jednocześnie przewidując i unikając ataków przeciwnika. LoL jest dynamiczną, bardzo wymagającą grą, ale też bardzo wciągającą. Tu także wciągnąć nas mogą mikrotransakcje, za które możemy kupować skiny (skórki), które zmieniają wygląd postaci, odgłosy używanych zdolności, efekty wizualne itd. Skin do Elise, dla przykładu, zmienia ją ze zwykłego krzyżaka w lodowego pajaka (w kolorze bieli i turkus), strzelającego lodowymi kolcami, zamiast kulami sieci. Wydać możemy od 20 do nawet 100 zł za "skórkę". Przykładowo, Sona – kobieta w białej szacie, jedna z postaci wsparcia, wirtuozka gry na magicznym, bliżej nieokreślonym instrumencie strunowym, zostaje po tym zmieniona w neonową Dj-kę z przyszłości, w hełmie a'la Daft Punk i konsolą zamiast instrumentu strunowego.

3. Let it Die (PS4)

Ten tytuł jest dostępny tylko dla posiadaczy Play Station4. Tokio AD 2028. Po wielkim trzęsieniu ziemi świat jest w rozsypce, a na ruinach sto-

licy powstaje tajemnicza Wieża Cierni. Jej czubek zanurzony jest w mrocznych chmurach, wielu śmiazków do niej wchodzi – nieliczni wychodzą. Podobno na szczycie czeka na najdzielniejszego ukryty skarb o wielkiej wartości. Czy zdołasz dotrzeć na samą górę? Zaczynasz bardzo skromnie, powitany na parterze przez Wujka Śmierć (na deskorolce, w czarnej szacie ze złotą kosą); masz na sobie jedynie białiznę. Zostajesz poprowadzony do Twojej Poczkalni – pokoju, do którego będziesz wracał bardzo często, w którym poznasz wiernych pomocników – Gyakufunsha i Momoko. Dzięki nim ulepszysz zebrany w wieży ekwipunek czy nabędziesz nowych umiejętności. Używając ruchomych schodów (i wind do przemieszczania się po wieży) docierasz na pierwsze piętro. Wtedy zaczyna się zabawa w typowo japońskim stylu...

A to dopiero poziom pierwszy!

System walki bardzo przypomina ten ze znanej serii Dark Souls. Widok z trzeciej perspektywy, walka bronią białą oraz szalonymi wynalazkami Gyakufunshy. W grze znajdujesz liczne grzyby, które można wymieniać u Momoko na unikatowe zdolności. Ważnym filarem gry jest soundtrack – znajdziemy w nim ponad 100 utworów pochodzących od stu różnych zespołów. Mamy tu J-rocka (japoński rock), japońskie techno, punk rock, a nawet stylizowane na tradycyjne ludowe pieśni o tematyce śmierci i odradzania się. Jest czego słuchać, każdy znajdzie coś dla siebie. Jest to też świetna okazja do poznania muzyki, do której normalnie nigdy byśmy nie dotarli. Podsumowując, gra jest krwawa i bardzo trudna (jak wiele japońskich tytułów).. Tu nigdy nie jesteśmy gotowi na to, co czeka na nas za rogiem.

■ Eryk Ubaka

Ludzie wiecznej zimy

Nie, to nie jest Mordor. To Norylsk



Foto: dżwignyj

Zima

„- Jeżeli przypadkowo rozwiązało ci się sznurowadło w -30, co robić?

- Rozwiązał się sznurek w -30? – śmieje się Jurij. – Zawiązać i cieszyć się, że nie -40”.

Zwykła sytuacja dla Norylska. Średnia temperatura w zimie około -25 stopni C. Miasto znajduje się 300 kilometrów na północ od koła polarnego, w północnej Rosji. A to znaczy, że 280 dni w roku stoi mróz, a śnieg nigdy nie topnieje.

- „Dziś jest dość ciepło – około 30 stopni mrozu i lekki wiatr. Bardzo dobra pogoda dla zimy. Na tego Sylwestra mieliśmy -47 i straszny wiatr. Świetny prezent pod choinkę” – mówi jeszcze jeden mój bohater, Stanisław. Gadałam z nim przez pół nocy. Opowiadał mi o wadach i zaletach życia w takim mieście, i o swojej pracy.

„Bywa czasami tak, że przez złe warunki pogodowe nie przeprowadzają lotów. Pamiętam, że kiedyś nawet były puste półki w sklepach. Kto nie zapobiegliwy – ten chudy i głodny. Jeżeli bardzo chcesz świeżych warzyw – proszę, ale wydaj na nie 350-500 rubli (24-34 zł). Jeszcze za czasów Związku Radzieckiego mieliśmy pola, ale kiedy kraj się rozpadł, zostały u nas tylko kopalnie. Sam pracuję jako spawacz. Jesteśmy cały czas w wodzie, bo na górze dużo śniegu. Zamiast herbatki pijemy leki”.

Mówię, że słyszałam, że główne marzenie mieszkańców to wyjechać stąd. A on na taki męt odpowiada, że mnóstwo jego znajomych wraca, bo czasami miasto i warunki życia odgrywają mniejszą rolę, aniżeli ciepło ludzkich dusz. A tam, chociaż zimno i nie ma gdzie wyjść, jest rodzina i przy-

jaciele, na Kontynencie (tak w Norylsku nazywają pozostałą część Rosji) jesteś zbędnym i nikomu nie potrzebnym.

Ludzi tu są już przyzwyczajeni do mrozów, smrodu i brudu. „Czy wpływa to na zdrowie?” – dziwi się Jurij. – „Jeżeli i wpływa, to jeszcze tego nie zauważyłem, ponieważ jestem młody. Jeden mój znajomy po spacerku pod deszczem wyłysiał, u innego smarki zrobiły się pomarańczowe. A wiosną i latem mamy czarny śnieg. Nie w zimie, bo przez zawieję śnieg na jednym miejscu długo nie leży. A, jeszcze w zimie nie czuje się smogu, lecz latem strasznie przeszkadza – spacerować lub grać w koszykówkę się nie da”.

Największym bogactwem tego kraju są kolorowe i szlachetne metale. I one są jego biedą.

Wiosna

Alina przyjechała do Norylska z Novokuzniecka. Po co? Miłość. „Poznałam chłopaka z Norylska, on zaprosił mnie. Pojechałabym tam – w tym momencie skończyłam uczelnię i nic mnie nie trzymało. Najpierw bałam się: daleko, zimno, dużo mitów, lecz już po przyjeździe odnalazłam się w branży fotografii. Nie żałuję teraz. Dobrze zarabiam, koło mnie mój człowiek. Jest brudno? Może w Norylsku, ja mieszkam w trochę innym regionie – Tałnach” (25 km na północny wschód od centrum Norylska). „Latem jest tu naprawdę pięknie – wszystko zielone, całe pola wierzbówki” (niżej załączam zdjęcie tego zjawiska, które podała mi Alina). „Rośnie dużo grzybów i jagód. Nie wiem, dlaczego wszyscy narzekają. Może jest źle, lecz nie najgorzej. Wszędzie źle.”

Widać, że dziewczyna lubi tę miejscowość. Narzeka tylko na zimę, a zwłaszcza na noc polarną, która trwa od grudnia do 14 stycznia. Niezbyt przyjemne zjawisko. Cały czas ciemno, na ludzi spada depresja, chce się spać i nic oprócz tego.

„W dni, kiedy jest ciepło (około -23 st. C) rodzice z dziećmi wybierają się na sanki. W weekend administracja włącza muzykę. Jest tu problem z internetem – nie ma nielimitowanego, tylko routery i zasięg mobilny. Jest jeszcze zasięg miejscowy, ale on jest niewyobrażalnie drogi – 3500 rubli (240 złotych). Dlaczego nie ma internetu? Jesteśmy na półwyspie. Wokół jeziora i góry. Naprawić połączenie kablowe dość trudno. Obiecują, że do końca 2018 roku już będzie, ale kto wie.”

Lato

„Latem, rok temu, kiedy mieliśmy praktyki na kombinacie, spotkaliśmy się całą grupą i imprezowaliśmy przez kilka dni. Najpierw po prostu zebraliśmy się, ktoś pił, ktoś nie. Potem graliśmy w ping ponga na samochodowej masce. Trochę później ktoś zechciał się wykapać i pojechaliśmy nad jezioro. Nie polecam tam pływać, bo jest strasznie brudne. Zgłodnieliśmy, i zde-



cydowaliśmy się pojechać do stołówki kombinatu, bo na praktykach mamy darmowe posiłki, a tam jest dość smacznie. Zjedliśmy i odnosiliśmy talerze tańcząc, a pracownicy dziwnie na nas patrzyli. Potem chcieliśmy popatrzeć na niedźwiedzie i pojechaliśmy na wieś kilka kilometrów od miasta. No, o tyle, o ile trwa polarny dzień; nie zauważyliśmy, że już czwarta rano i na miejscu okazało się, że wszystko zamknięte. Potem pobawiliśmy się w koszykówkę za pomocą człowieka i wiadra, potańczyliśmy naokoło wartownika i rozeszliśmy się.”

Yurij – mieszkaniec Norylska od urodzenia. Od niego nawet czuć ten niepowtarzalny koloryt północnych ludzi – wieczny uśmiech. Taki, od którego naprawdę topnieje lód, a chmury rozlatują się. Kiedy pytałam go o problemy, on odpowiada krótko, lecz bez żadnego zaangażowania. Lubi to miasto, zwłaszcza ze względu na wspomnienia z dzieciństwa.

„O, mam cały zbiór wspomnień o śnieżnych miasteczkach. Zjeżdżałem na sankach z gór, walczyłem z chłopakami za pudełka, żeby jak na snowboardzie zjechać z góry. Co za piękne czasy! Poznawałem dzieci z innych podwórz, kopałem tunele w zaspach. Szkoda, że takich miasteczek już nikt nie buduje... Wyglądały

świetnie – domki dla dzieci, śnieżne figury, a jeszcze Święty Mikołaj i zwierzak, rok którego nadchodzi”.

Jesień

„U nas wielonarodowe miasto. Słowianie z małych wsi wokół przyjeżdżają, przedstawiciele miejscowych mieszkańców, wielu przyjeżdża z Kaukazu – wszyscy za dużymi wypłatami. U nas na Uniwersytecie był przedmiot „Kultura, tradycje, obrzędy miejscowych narodów Tajmyra”; wtedy dowiedziałem się, że u nas istnieje około 20 różnych lokalnych narodowości! Dla mnie to było zadziwiające. A w centrum miasta stoi pierwszy dom. Mówiąc szczerze – po prostu dom z drewna. Ale w środku dużo zdjęć miasta i osobistych rzeczy pierwszych ludzi w Norylsku, wydrukowano mnóstwo historii. Dom wcześniej znajdował się w innym miejscu, lecz przeniesiono go, by ludzi nie zapominali o swojej przeszłości. Strasznie ważna rzecz, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.”

Ludzie z tych krajów, których poznałam, i ludzie, których sobie wyobrażałam, są w ogóle inni. Ciepłi, przyjaźni i mili. Norylsk – jak Watykan – kraj w kraju, tylko że między Rosją a Norylskiem jest jeszcze mniej podobieństw. Chyba, że język ten sam.

■ **Julii Rusk**



Zastanówmy się dziś nad dziennikarstwem

Mówić o dziennikarzu to synonimicznie mówić o człowieku wykształconym, o szerokich horyzontach. Gdyby zadać sobie pytanie, „dlaczego to osoby wywodzące się ze środowiska dziennikarskiego są postrzegane jako inteligentne, dociekliwe, umiejące dostrzec szczegóły, które umykają innym, odpowiedź mogłaby się zawrzeć właśnie w dającym warsztat wykształceniu. Jest ono podstawową kompetencją dobrego „człowieka mediów”. W pracy dziennikarza nie wystarczy jednak tylko skończyć studia; dziennikarz, podobnie jak lekarz, całe życie musi rozwijać swoją wiedzę, poszerzać światopogląd, poznawać nowych ludzi, często myśleć nieszablonowo, a nie rutynowo. Błędem jest jednak bagatelizowanie samych studiów. Gdzie, jeśli nie na sali wykładowej, otrzymamy wiedzę potrzebną do skutecznego realizowania ambicji i marzeń w świecie dziennikarskim? Kto lepiej od doświad-

zonego wykładowcy czy praktyka który zwiedził świat, pisał do prasy, internetu, prowadził programy w radiu czy telewizji, będzie w stanie powiedzieć nam, studentom, co naprawdę się w pracy w mediach liczy? Przez te kilka lat chodzenia na zajęcia dowiadujemy się o korzyściach i zaletach tej ścieżki kariery, ale także o możliwych zagrożeniach czyhających na młodych reporterów, oraz o odpowiedzialności, która łączy się z wykonywaniem zawodu. Kolejne porównanie do lekarzy nie będzie tutaj błędne, ponieważ dziennikarz z dobrze ugruntowaną wiedzą o istocie opracowywanego zagadnienia, będzie mógł uniknąć kompromitacji, ośmieszenia, popełnienia błędu. Będzie mógł prowadzić dialog, oparty na zrozumieniu i poszanowaniu tradycji i kultur wielu swoich rozmówców, przez co budować będzie swoją renomę i pozytywny wizerunek.

Inną cechą „dobrego dziennikarza” powinna być zaradność. Nieraz zdarzają się sytuacje, w których reporter bywa pozostawiony własnemu losowi; wysłany sam do obcego kraju, czy nawet regionu we własnym państwie, musi radzić sobie z przeciwnościami losu, narastającymi przy produkcji materiału. Musi mieć dar przekonywania ludzi do dzielenia się ich historiami, które – jak wiadomo – nie zawsze są łatwe i przyjemne. Posiadać odwagę, by czasem relacjonować wydarzenia z miejsc takich jak oblegane miasta czy obszary dotknięte klęskami żywiołowymi. By mówić głośno, gdy inni będą milczeć, nawet gdy czasami wypowiedź w jakiejś sprawie może stanowić zagrożenie dla niego samego. Powinien być przy tym rozważny, by umieć ocenić zagrożenie i nie podejmować decyzji pochopnie. Posiadać kompas moralny – nie angażować się w sprawy, które mogą przynieść mu

korzyści materialne, ale zaszkodzić innym. Ważna jest także odporność na stres. Oczywiście, stres obecny jest w każdym wykonywanym zawodzie, ale najczęściej doświadczają go osoby pracujące z innymi ludźmi. Dziennikarz na drodze kariery często wchodzi w niecodzienne relacje z różnymi osobami, od przestępców, celebrytów, polityków. To jasne, że kontakt z nimi nie może być dla reportera łatwy. Często, by zadać choć jedno pytanie, musi czekać całymi godzinami pod danym urzędem czy halą koncertową.

Jak wcześniej wspomniałem, praca w mediach wiąże się z dużą odpowiedzialnością. Ponieważ nie raz w roli konferansjera czy prezentera telewizyjnego przemawia się do dużej grupy odbiorców, zawsze trzeba mieć na uwadze najwyższe wartości. Innymi słowy – nie można na wizji obrażać rozmówców, ich przekonań i wiary, nie powinno się używać wulgaryzmów, dbać o poprawność językową swoich wypowiedzi. Trzeba zdać sobie sprawę, że wiele osób z naszej widowni może traktować nas jako swój autorytet, dlatego ważnym jest, aby zabiegać o przedstawianie jak najlepszych wzorców. Należy starać się o budowanie własnego wizerunku przez przemyślane wypowiedzi, które potwierdzać będą naszą inteligencję. Nie angażować się emocjonalnie w dyskusowane sprawy, zachowywać trzeźwy umysł, zadawać celne pytania, umiejętnie prowadzić dialog, nie być przeciw rozmówcy (przekonywać do swoich racji), a jedynie sprowokować go do myślenia. Można powiedzieć, że zadaniem dobrego dziennikarza jest utrzymać własny spokój, ale wywołać emocje u innych. Stoicyzm ten powinien być oparty na dobrej orientacji w życiu społecznym i politycznym, oraz na podkreślanej już „światowości”. Ważne też, by nie zaskoczyło go żadne pytanie, lecz by wykorzystując inteligencję, charyzmę oraz perswazję, zręcznie prowadził rozmowy w kierunku możliwie obiektywnego przedstawienia danej sytuacji.

Ważnym elementem wizerunku dziennikarza pozostaje też jego wygląd zewnętrzny. Jest dużo prawdy w twierdzeniu „Jak cię widzą, tak cię piszą”, dlatego człowiek mediów powinien, oprócz sfery umysłowej, prezentować się też profesjonalnie ze strony wizualnej, co zwiększa do niego zaufanie. Do tego pozytywne nastawienie do życia i otaczającego świata, które może sprawić, że będzie on postrzegany przez społeczeństwo jako godny zaufania, przedstawiciel „czwartej władzy”. Jest to bardzo ważne z punktu widzenia zatrudniającej go organizacji, gdyż – jeśli chce dotrzeć do ludzi ze swoim przekazem, jakkolwiek by on nie był – potrzebuje ona osób, które potrafią przekonywać. Osób, które chce się słuchać, oglądać, którym można wierzyć i które potrafią zaskoczyć celnym spostrzeżeniem.

Ja sam, myśląc o karierze w świecie dziennikarskim, nieraz wyobrażam sobie siebie podróżującego niczym Indiana Jones, po różnych kontynentach, w poszukiwaniu tematów wartych opisywania. Od zimnej Grenlandii po gorące pustynie Afryki, spędzając wakacje jako krytyk turystyczny w kurorcie na Bali, popijając drinka z kokosa, oglądając zachód słońca nad oceanem. Opisujać zalety i wady danego miejsca, redagując magazyn podróżniczy, przedzierając się przez dżunglę z maczetą w ręku, czy nurkując z rekinami w Australii. Mógłbym założyć kanał na YouTube, na którym omawiałbym rozmaite odkryte wraki starych statków, zatopionych w jednej z wielu bitew toczonych przez ludzkość na przestrzeni wieków. Może przez chwilę mógłbym zająć się fotoreportażem, by pokazywać światu zdjęcia stanowiące relację z tego, jaki piękny jest ten świat. Mógłbym pojechać do strefy wojennej w Syrii i informować na bieżąco, przekazując prawdę. Opowiadać jak rząd USA, który już wiele lat temu pod przykrywką „walki z terroryzmem” rozpoczął inwazję na kraje arabskie, wykorzystuje kraje gorzej rozwinięte. Mógłbym też siedzieć spokojnie w Pol-

sce, opisywać zmiany w tym kraju, których jest przecież tak wiele, albo zamieszkać na Ukrainie i stamtąd opisywać historie ludzi w bardzo złej sytuacji ekonomicznej – na chwilę stać się jednym z nich. Pojechać na pielgrzymkę do Tybetu i zostać na kilka lat z mnichami? Możliwości jest tak wiele, z wszystko to, i więcej, można zrealizować będąc dziennikarzem.

Opowiedziałem wam to wszystko, co inni opowiadają mi na zajęciach. Koniec końców, wszystko zależy i tak od was, młodzi dziennikarze – kim chcecie być, to wyłącznie wasza sprawa. Jeśli macie wyobraźnię i marzenia – spełniajcie je! Jeśli idziecie na dziennikarstwo, żeby, jak $\frac{3}{4}$ osób w mojej grupie, założyć własny biznes, reprezentować się godnie w firmie, czy nauczyć się tego, jaki garnitur należy założyć na jaką okazję – też jest OK. Najważniejsze, żeby nie dać sobie wmówić, że dziennikarz powinien być kimś innym niż wy, że jest tylko jeden prawdziwy dziennikarz. Zawód ten ma tyle twarzy, że ciężko je w tak krótkim tekście wymienić, a na pewno można napisać o tym książkę na kilkaset stron. Można sobie fajnie ułożyć życie będąc dziennikarzem, mając w ręku warsztat i wykształcenie, bez „wkręcania sobie” tych wszystkich wyznaczników, bo jedyną zasadą dziennikarstwa powinna być wolność wyboru i niezależność.

■ **Eryk Ubaka**

„Jeszcze dzień życia” (2018) – reporterska odwaga

Ryszard Kapuściński, niezłomny dziennikarz, raz po raz stawiał na granicy życia i śmierci, by ukazać czytelnikom prawdziwe oblicze wojny.

Dzięki studiom w Krakowskiej Akademii miałem przyjemność nie tylko zapoznać się z jego sylwetką, ale i przeczytać „Cesarza”, pracę traktującą o etiopskim władcy Hajle Syllasje, którego spojrzenie pragnęło tak wielu. Z pewnością nie poprzestanę na tej jednej lekturze, tym bardziej, że mój dobry kolega pisząc licencjat o Kapuścińskim, na bieżąco składa mi relacje z przeczytanych książek tego znanego Polaka.

Niedawno do kin trafiła ekranizacja jednego z najlepszych dzieł Kapuścińskiego, czyli „Jeszcze dzień życia”. Za jego produkcję odpowiadają Damian Nenow i Raul de la Fuente, zaś samą animację przygotowali mistrzowie grafiki komputerowej, czyli Plati-ge Image, znani chociażby z intra do pierwszej części gry o Wiedźminie.

„Jeszcze dzień życia”, jako reportaż oraz film, przedstawia trzymiesięczny pobyt Kapuścińskiego w Angoli podczas wojny domowej między MPLA (wspieranym później przez Kubańczyków) a UNITĄ oraz FNLA (opłacanymi przez amerykańską CIA). Portugalia traciła kolonialne tereny wpływów, wobec czego biali zabierali swoje dobytki i ratowali życia wracając do siebie, pozostawiając cenne zasoby. W kraju zapanował istny chaos, nazywany przez tamtejszą ludność *confusao*. Tymczasem Ryszard Kapuściński w owym czasie podjął

wyprawę, której zwieńczeniem miała być rozmowa z dowódcą partyzantów, niejakim Farrusco – Portugalczyku, który przeszedł na stronę Angoli. Finałnie, jak to zwykle bywa, poznaliśmy nie jedną, lecz kilka interesujących postaci, jak żołnierka Carlota czy Queiroz, dziennikarz, który podjął walkę o wolną Angolę bez względu na reguły etyki zawodowej, po stronie, w którą wierzył. Wszyscy mieli swoje powody, by walczyć, wszyscy mieli swoje marzenia, które mogły umrzeć (a u niektórych faktycznie umarły) wraz z nimi. I wszyscy doświadczyli na własne oczy okropieństw wojny.

Film mocno wciska w fotel opowiadaną historię (de facto opartą o reportaż). Przedstawia się ją nam nie tylko animacją, podobną do stylizyki niemal każdej gry studia Telltale, czy wieloma przebitkami z nagrań życia współczesnych Angolczyków, lecz także poprzez wypowiedzi trzech osób, które szczęśliwie dożyły naszych czasów i mogły wspominać o spotkaniu z Ricardo (jak mówili o Kapuścińskim) oraz swoich doświadczeniach z czasów wojny.

Tam, gdzie obraz, pojawia się również i muzyka, która bardzo dobrze wpisuje się w pokazywane sceny, a niekiedy nadaje prawdziwie dramatycznego tonu.

Osobną kwestią, którą trzeba tu poruszyć, jest polski dubbing. Powiem szczerze, że po obejrzeniu traileru obawiałem się o to, jak brzmieć będą niektóre głosy w końcowej wersji. Okazuje się jednak, że tragedii nie ma, a wręcz jest naprawdę dobrze! Marcin Dorociń-



ski w roli głównej, Arkadiusz Jakubik jako Queiroz oraz Olga Boładź, wcielająca się Carlottę, podołali swoim kwestiom dialogowym. Reszta prezentuje się przy nich po prostu znośnie, choć jednocześnie nie zapada szczególnie w pamięć.

Jedyne, co może odrzucić niektórych widzów, to kilka wizji, czyli wydarzeń dziejących się w głowie Ryszarda Kapuścińskiego. Są do siebie nieco podobne w wydźwięku i przedstawieniu pewnych kwestii, ale jeśli ktoś jeszcze nie czytał książki lub nie oglądał filmu, nie będę zagłębiał się w szczegóły. Mnie osobiście sceny te wydały się tylko po części zrozumiałe, a trochę zbędne.

Podsumowując: czy warto wybrać się na ten film? Gdyby nie mój kolega, pewnie sam bym go przegapił, czego wam nie życzę – to jest produkcja, którą trzeba zobaczyć. „Jeszcze dzień życia” to historia ludzi w obliczu wielkich wydarzeń, ich pasjonujących, choć tak zwyczajnych losów, o których nie dowiedzielibyśmy się, gdyby nie odwaga, oddanie i konsekwencja bodaj najwybitniejszego polskiego reportażysty. Jeśli nie mieliście wcześniej styczności z jego dziełami, istnieje bardzo duża szansa, że film ten was przekona. Jeśli nigdy jego nazwisko nie obito wam się o uszy, po seansie sami będziecie chcieli sprawdzić jego życiorys i reporterskie dokonania.

• **Mateusz Matłok**

Prezent

na każdą okazję

Urodziny, święta, Walentynki – kiedy koszt prezentu staje się doskonałą inwestycją.

Dar, podarek, upominek, czy w końcu prezent. To takie małe lub duże „coś”, zwykle kojarzone z jakimś obiektem, który zostaje ofiarowany przez jedną jednostkę, drugiej. Oczywiście definicji samego prezentu jest tak samo dużo, jak ludzi którzy o tym myślą. Skupmy się jednak na tym co najbardziej przychodzi na myśl, czyli Urodziny, Imieniny czy Święta Bożego Narodzenia, prezenty które zwyczajowo kupujemy, które, no właśnie – kosztują. Koszt to głównie pieniądz, który musimy wydać na zakup konkretnego dobra, ale kosztem może być też opinia która nas czeka po przekazaniu tego dobra kolejnej osobie, dobrze więc aby był to koszt przemyślany. Jednak koszt może stać się inwestycją, ale nie bez naszego wysiłku. Nie nadużywajmy jednak słowa koszt, a omówmy kwestię inwestycji. Udana inwestycja powinna przynieść odpowiednio wysoki przychód, taki który pokryje zwrot kosztów i doda zysk. Jak bardzo trzeba się wysilić by zainwestować i nie stracić, myślę że wie praktycznie każdy, poczuł to własnej skórze, lub nauczył się na błędach innych. Biorąc to wszystko pod uwagę jak sprawić by koszt prezentu, stał się inwestycją.



Wydajemy z roku na rok, coraz więcej, szczególnie na grudniowe obdarowywanie osób sobie bliskich, w 2017 roku było to ok 700zł – 800zł na rodzinę, w kolejnym mówią nawet o 1000zł. Z badań firmy Deloitte wynika, że w 2018 łącznie wydaliśmy na prezenty ok 24mln zł, to całkiem pokaźna suma biorąc pod uwagę możliwości zainwestowania takiej kwoty przez wprawno inwestora, taką wartość mógłby podwoić w 3 lata, dlaczego więc wydając 1000zł na prezenty, nie są to produkty które obdarowanemu w przyszłości dadzą jeszcze więcej profitów materialnych lub relacyjnych.

Pierwsza kwestia, to uprzedmiotowienia prezentu samego w sobie, ponieważ taka rzecz może być wprost czymś pokroju sztabki złota, dziełem sztuki lub nieruchomością, która na pewno przewidywany zysk przyniesie, jednak ilu z nas stać na zakup złotej monety za 5tys zł lub kamienicy za parę milionów? Jednak, są możliwości o mniejszym wymiarze finansowym, np. uncja srebra kosztuje ok 100zł, a akcje CD Project Red ok 145zł, czy też ogólnodostępne obligacje NBP 100zł, są to więc produkty na które pozwolić sobie może zwykły kowalski, a ile radości dać może pięknie opakowana akcja ulubionej firmy produkującej czyjeś ulubione gry?

Skoro więc mowa o radości, prezent może być inwestycją w czas, szczególnie ważny dla obdarowanego może być nasz własny czas przekazany właśnie w formie prezentu np. na walentynki. Możemy przygotować własnoręczne przetwory, nalewki, jeżeli mamy talent to namalować obraz, i to nie tylko dzieci mają w zwyczaju malować dla rodziców obrazki, ale też dorośli. Będzie nie zdecydowanie dar niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju i niezapomniany – na przyszłość.

Wspominałem na początku o relacyjnym zysku z inwestycji, i bynajmniej nie jest to jakaś makroekonomiczna definicja, chodzi wprost o relacje

między ludźmi. W niejednej spółce największą wartością są ludzie, ich wiedza, umiejętności i doświadczenie, nazywamy to kapitałem ludzkim. W firmie, kapitał ludzki jest obciążony kosztem, są to pensje, prowizje, premie lub inne bonusy pozapłacowe, ci sami ludzie jednak dają firmie zysk. Spójrzmy na rodzinną imprezę jak na spółkę, z kapitałem ludzkim w który chcemy zainwestować, np. przez prezenty. Zastanówmy się, jak zrewitalizować dziadków poprzez karnet na termę by poczuli się młodzi raz jeszcze, a może mamie bilet na konferencję o której myślała cały rok by poszerzyła jej wiedzę zawodową, lub zupełnie kogoś zaskoczmy voucherem na kurs barmański który dla ulubionego kuzyna będzie niesamowitą przygodą. Na rynku jest wiele wydawnictw które początkują różne kolekcje, np. małych samochodzików, znaczków, kamieni szlachetnych albo figurek z ulubionego filmowego uniwersum Star Wars, być może to jest dobra okazja by przed świętami przepisać dyskretnie o zainteresowania osób którym chcemy coś kupić, i rozbudzić kolekcjonerstwo tym właśnie pierwszym darem? To wszystko jest budowanie relacji, a te zawsze procentują pozytywnie!

Podsumowując, inwestycję w formie prezentu możemy w bardzo łatwy sposób dostosować do osoby którą chcemy obdarować, do okoliczności, dzięki którym personalizacja będzie jeszcze bardziej dokładna. Każda inwestycja prezentowana wartość edukacyjną, inspiruje obdarowanych do obdarowywania w inwestycje kolejne osoby, to pozytywny łańcuch który możemy rozpocząć w otoczeniu naszej rodziny, znajomych, czy współpracowników. Prawdziwa inwestycja może wywołać jeszcze większe zaangażowanie drugiej strony do tego sposobu prezentów w przyszłości, i to na każdą okazję. Tren-

dy z roku na rok zmieniają się, w mniej lub bardziej wyraźnej formie. Przyjmujemy modę z zachodu która wydaje nam się lepsza, nowocześniejsza i bardziej idąca głównym nurtem natury ludzkiej. Jednak Ziemia jest okrągła, nasz zachód to dla kogoś wschód, i w końcu my też jesteśmy dla kogoś zachodem. Zróbmy więc coś, z czego czerpać będą kolejne osoby, wypracujmy własne wzory i trendy.

Satysfakcja przyjdzie z czasem, gdy i do nas trafi prezent który jest inwestycją.

Bibliografia / Netografia:

<http://www.mojaprzyszlaernerytura.pl>; „Inwestycja jako pomysł na prezent”: Michał Sadowski
<https://polki.pl>; „Ile Polacy wydają na zakupy świąteczne?": Małgorzata Górecka - Kosmala
<https://www.prywatnyinvestor.com>; „4 Inwestycyjne pomysły na prezent”: Red.
<https://businessinsider.com.pl>; „Polska rodzina wyda na święta Bożego Narodzenia w 2017 r. średnio 882 zł”: Red.

▪ **Michał Stępień**



Tajemnica

Trio z Rocky Beach



Stany Zjednoczone, Kalifornia

Pani Darnley, ekstrawagancka miłośniczka wszelakiej maści zwierciadeł, wprowadziła się niedawno do starej posiadłości czarodzieja Drake-stara. Wśród bogatych zbiorów damy znajduje się jedno szczególne lustro, wzbudzające równie wiele grozy, co fascynacji. Niegdyś należało ono do sławnego iluzjonisty Chiava, który ponoć przeszedł na jego drugą stronę i nigdy nie powrócił... Pewnego dnia do willi pani Darnley włamuje się tajemniczy jegomość o niewielkiej posturze, jeszcze tego samego dnia pojawia się ostrzeżenie o klątwie zwierciadła, zaś w nocy z tafla szkła wyłania się jaśniejąca zielonkawym blaskiem złowroga twarz!

Nie ma bata, tajemnicę nawiedzonego lustra rozwiązać mogą tylko specjaliści – Trzej Detektywi!

Jeśli toczę z kimś dyskusję o serii książek, która kiedykolwiek wciągnęła mnie najmocniej, zawsze odpowiadam: "Zwiadowcy" Johna Flanagana. Ale to nieprawda! Jeszcze u schyłku gimnazjum, w ręce wpadł mi cykl o Przygodach Trzech Detektywów, autorstwa Alfreda Hitchcocka (a właściwie Roberta Arthura i kilku innych pisarzy). Wydawany był on w okresie od 1964 do 1987 w wielu krajach, chociaż w Polsce dopiero w latach 90. dzięki uprzejmości wydawnictwa Siedmioróg.

Doskonale pamiętam te beztrojskie wakacje, gdy co parę dni chodziłem do biblioteki w pobliskim domu kultury tylko po to, by pożyczyć kolejny zeszyt, opowiadający nową, trzymającą w niepewności historię następnego śledztwa.

Ale o co tak właściwie chodzi? Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews to trzech chłopaków, mieszkających w kalifornijskim Rocky Beach. Prócz standardowych rozrywek amerykańskich dzieciaków lat 70., czas umiła im prowadzenie agencji detektywistycznej od spraw rodem z serialu Scooby-Doo: przerażająca zjawa, jaskająca się papuga, gadająca czaszka, kaszlący smok, nawiedzone zwierciadło itd. Gdy zamigocze lampka ostrzegawcza, zamontowana na przyczepie skrytej pod stertą gratów w składzie złomu, nasi bohaterowie przechodzą specjalnymi rurami do wnętrza kwatery, gdzie odbierają telefon od kolejnego świadka zdarzeń niecodziennych. Jupiter to Pierwszy Detektyw, ten od myślenia, analizowania faktów i podejmowania decyzji. Pete, jako Drugi, poszczycić się może dobrą kondycją i sokolim wzrokiem, zaś Bob (Trzeci) dzięki karcie bibliotecznej i dostępowi do wielu książek potrafi szybko zdobyć nierzadko kluczowe dane. Logiem organizacji są trzy znaki zapytania: biały, zielony i niebieski.

Każda przygoda opisana jest w ciekim, stustronicowym zeszycie, na którego okładce zawsze widnieje zachęcająca grafika i charakterystyczne trójkątne logo. Styl pisania jest bardzo przyjemny w odbiorze, fabuła trzyma się porządku, zaś akcja dość szybko nabiera tempa, aż do finałowej konfrontacji i rozwiązania zagadki, której ostatnie wątki domyka rozmowa Detektywów z ich zaprzyjaźnionym reżyserem Alfredem Hitchcockiem. Właśnie dlatego na okładce widnieje jego nazwisko: wygląda to tak, jak by to on przelał na papier kolejną historię, usłyszana od tytułowych bohaterów.

Poza kilkudziesięcioma zeszytami Przygód Trzech Detektywów, ukazało się jeszcze kilkanaście spod szyldu "NOWYCH Przygód Trzech Detektywów", gdzie chłopcy chodzili już do koledżu, zaczęli interesować się dziewczynami, robili prawo jazdy, a i rozwiązywane przez nich sprawy nabrały powagi i jeszcze większego ryzyka. W mojej opinii, obie serie były na swój sposób dobre, więc nie silę się nawet na porównywanie.

Ostatnimi czasy, chcąc uciec trochę w przeszłość, zakupiłem za kilka złotych wspomnianą wyżej "Tajemnicę Nawiedzonego Zwierciadła". Niby tłumaczyłem sobie, że "to na potrzeby artykułu", ale wiecie jaka jest prawda: po prostu musiałem mieć choć jeden z tych zeszytów. Jak mi się więc wracało? Biorąc pod uwagę, że są to książki skierowane do nastolatków oraz pomijając brak takiego napięcia, jak we współczesnych kryminalnych bestsellerach, to jednak perypetie bohaterów są krótką i lekką odskocznią od dłuższych i wartościowszych tytułów. Książki nie są z sobą fabularnie połączone, więc można "wskoczyć" do lektury przy dowolnym zeszycie. Wszelkie niuanse są zawsze krótko wyjaśniane, więc nie ma problemu z przyswojeniem "lore" serii (Czerwona Furtka Korsarza, dieta SADKO etc).

Jeśli za czasów dzieciństwa śledziliście poczynania Scooby'ego Doo i przymkniecie oko na standardy dorosłego kryminału, odnajdziecie się bez problemu w przygodach trio z Rocky Beach, które potem w przyszłości śmiało polecić możecie swoim pociechom lub już teraz sprezentować młodszemu rodzeństwu.

■ **Mateusz Matłok**

Zielony Kraków

Jest w Krakowie i jego okolicach wiele pięknych miejsc, do których można się udać na wypoczynek albo krótki urlop.



Wcale nie musi to być jeden czy drugi park (których w Krakowie nie brakuje), można bowiem wybrać miejsca nieco rzadziej z reguły uczęszczane. Pozwolę sobie przypomnieć trzy takie miejsca, które często mijacie, może po drodze do szkoły/pracy, lub po nich, i tak przywykliście do tego, że tam są, że w sumie... nigdy w nich nie byliście. Może kiedyś, kilka lat temu, zaraz po przyjeździe do Krakowa lub po prostu dorastając, ale dziś? Kto ma na to czas?

Kopiec Kościuszki i okolice. Głównie okolice. Chyba każdy wspinał się kiedyś na Kopiec, o mało nie zsuwając się w dół z powodu wąskiej ścieżki

na szczyt, bez żadnych barier. Można stamtąd podziwiać widoki Miasta Królów Polskich w pełnej okazałości (niektórzy pewnie nic nie widzieli, bo zasłonił im wszystko SMOK/g/), można wypić kawkę na murze fortów lub zobaczyć kwaterę główną RMF. Nieliczni wiedzą jednak, że prawdziwa zabawa zaczyna się po wyjściu za mury rzeczonych fortów i wejściu do gęstego lasu, z równie wąskimi ścieżkami co na kopcu, z tą różnicą, że to jednak las! Komu przeszkadza, że nie ma ścieżek, skoro można wytyczyć własną? Mnie nawet „udało się” zabłądzić. Okazuje się (jak stwierdził pewien emerytowany profesor – lokalny ekspert, który zbierał tam drewno, a przy

okazji opowiedział mi krótką historię tych terenów), że całe to wzgórze było za czasów realnego socjalizmu obiektem wojskowym, ogrodzonym drutem kolczastym. I nie było tych wszystkich drzew, które wyrosły dopiero później, podobnie jak pojawił się RMF. Przyszło mi do głowy, że to może właśnie dlatego, w pewnym momencie kopiec się zawalił (usypało się trochę ziemi), zapadł się z powodu pozostawionych tam przez Sowietów dziwnych eksperymentów (autonomicznych maszyn niezauważalnie pogłębiających grunt). A może było dużo kretów, w końcu to dla nich naturalny dom. Wracając do historii owego „pagórka” pojawiła się zieleń i dziś można się zagubić w tej

gęstwinie – tak jest duży, ten pozornie mały obszar.

Schodząc z ubitej ścieżki odkryłem wśród ceglanych ruin polankę; słońce prześwituje przez liściaste gałęzie, ptaki śpiewają – idealne miejsce na piknik. Poczuję się jak prawdziwy odkrywca. Ruszyłem więc dalej, w głąb „puszczy”, tylko po to, żeby zaraz wrócić na drogę (już wtedy nie wiedziałem do końca, gdzie jestem). Ludzie – spacerują, jeżdżą na quadach, na rowerach... Dobra, za dużo ludzi. Wracam do głuszy, schodząc po leśnym zboczu, żeby zobaczyć, czy da się przejść, i gdzie wyjdę, jeśli przemierzę cały park. Jest trochę stromo, ale w takiej chwili już nie ma odwrotu. Szedłem w dół/ześlizgiwałem się, aż po jakichś 15 minutach byłem na równym runie-sciółce. Trafiałem na kraniec (jeden z kilku) lasku, tylko po to, żeby dowiedzieć się od miłego, starszego pana (wcześniej wspomnianego), że „tu się nie da nigdzie przejść do drogi, bo to działki ogrodzone”. Przy okazji dowiedziałem się, że każdy mieszkaniec okolicy Błot może regulaminowo wypasać na nich jedną krowę. Taka ciekawostka. Zawróciłem, po wskazówkach Profesora dotarłem do drogi ciągnącej się w dół prawie aż do samej „Wielkiej Łąki”, czyli Błot. W tym miejscu można rozpocząć zupełnie inną wycieczkę, tu bowiem znajdują się liczne wille (jak na wzgórzach L.A.) i inne kilkukondygnacyjne cuda nowoczesnej architektury, i zwykle ciekawe pomysły budowlane. Polecam!

Ogród Botaniczny UJ. Mocny „klasyk”. Teraz na tapecie miejsce, do którego chadzały już nasze babcie.. Moja mawiała, że pięknie kwitnie. Wiosną, po wyjątkowo ciężkim dniu na uczelni, warto odwiedzić, tym bardziej, że patrzenie na zielony (\$\$\$) pomaga się odstresować. Wejście studenckie kosztuje niewiele, ale warto – nie ma dużego ruchu, nawet w weekendy, a jeśli chcemy wziąć swoją drugą połówkę gdzieś w mieście na spokojny spacer – znajdziemy tam wiele altanek pod

drzewami, ukrytych w zagajnikach łąwek i ogólnie romantycznych miejsc.. Dla fanów botaniki – trawy, krzewy i klomby w wielu odmianach; drzewa (świerki, modrzewie, cisy, buki) stare i młode. Kwiaty, skalniaki, porosty. Z tabliczek można czerpać informacje o różnych fantazyjnych przejawach natury, spróbować zapamiętywać łacińskie nazwy (tylko dla prawdziwych zapaleńców); jest też okazja, żeby zrobić quiz dzieciom, a przy tym ich czegoś nauczyć. Można być tym fajnym rodzicem, który nawet w pozornie nudnym miejscu znajduje coś do zabawy dla swojego malca. Mnie w ogrodzie podobała się ścieżka rodem z Alicji w Krainie Czarów – żywoplot pociągnięty na metalowym stelażu tak, że tworzy zamknięty tunel. Kiedy ostatnio chodziłem po Ogrodzie, spadł deszcz. Zamiast szukać szczęścia w tunelu, jak w „Jurassic Park” udałem się do wielkiego, skonstruowanego na metalowym szkielecie, przeszklonego budynku na samym jego końcu. Nie miałem wtedy pojęcia, co tam znajdę. Zaginiony Świat? Nie wiedziałem nawet, czy ta struktura należy jeszcze do terenów Ogrodu, czy nie. Nie, nie pożarł mnie dinozaur, a znalazłem się po prostu w palmiarni, założonej jeszcze w latach 60. XX wieku. Przed moimi oczami wyrosły autentyczne palmy, pościągane z różnych zakątków świata; nie jakieś pojedyncze rośliny, tylko wielkie kilkunastometrowe palmy, które posadzone razem dały w efekcie efekt małej dżungli. Poza nimi – autentyczne, grube liany. Można okrążyć, zobaczyć z każdej strony, można nawet wejść po schodach na małe półpiętro, żeby pooglądać wszystko z innej perspektywy (schody ciągną się pod sam sufit palmiarni – architekt miał fantazję, ale ta część jest zamknięta dla odwiedzających). Można przejść do następnej szklarni, w której znajdują się egzotyczne rośliny: awokado, różne rodzaje muchołapek i rosiczek, agawy, bambusy, bananowce, i wiele innych. Kolorowe, niecodzienne i bardzo ciekawe. Dla miłośników storczyków, znanych też pod nazwą orchidee,

ogród przygotował coś specjalnego: cały pawilon, w którym podobno jest ok. 500 różnych odmian. **Zakrzówek. Dziś niezupełnie legalnie.** Miejsce, które jednym jest już znane bardziej, innym mniej, ale. ogólnie Zakrzówka nie trzeba chyba nikomu szerzej przedstawiać. Zakrzówek był kiedyś kamieniołomem, później został zalany wodą, i oto mamy stan dzisiejszy: teren, który należy do miasta, ale do 2019 r. zarządza nim, prywatnie, CN „Kraken”. Co ciekawe, firma ta organizuje właśnie tam kurs nurkowania. Jeśli już dostaniemy się na teren Zakrzówka (siatki, które grodzą „nagle prywatną posesję” wyglądają jak sito, przez które ktoś przepuścił wiadro kwasu), mamy możliwość obejrzenia z bliska zatopione struktury, budynki gospodarcze, maszyny ciężkie itd. Może kiedyś ktoś wpadnie na pomysł, żeby wykorzystać te tereny do zrealizowania ciekawej fabuły i opowiedzieć np. o zatopionym mieście? Nad Zakrzówek nie da się nie trafić, ale wybierając się tam, warto zaopatrzyć się w odpowiedni prowiant. Wchodząc na jego obszar nie będziemy chcieli szybko stamtąd wracać. Wiosną wygląda to najlepiej – kwitną drzewa, wszystko wokół zielenieje; panorama jest niepowtarzalna, woda wydaje się błękitna, jak w niedostępnych lagunach, i aż się prosi, żeby zanurkować, i zanurzyć się w zimnej toni. Brak jest jakichkolwiek barier (uwaga, główna ścieżka prowadzi nas wzdłuż urwiska, około 7-8 metrów nad wodą)... Najbardziej w Zakrzówku podoba mi się jednak to, że ludzie są tam wolni. Taka duża przestrzeń pozwala na trochę prywatności, jeśli jej potrzeba, żeby posiedzieć na klifach i pogadać w miłej dla oka scenerii. Jednocześnie jest to przestrzeń na kilkudziesięcioosobowe spotkania towarzyskie. Wieczorem warto mieć „pod ręką” latarkę albo jakąś płonącą żerdź, żeby nie spaść wracając do realnego świata.

■ **Eryk Ubaka**



Zniewolenie, na które się godzimy

Żyjemy technologią i tego nie da się ukryć. Rano budzi nas alarm w smartfonie. Podczas śniadania przeglądamy porcję porannych newsów na kilku portalach. W drodze do pracy, bądź na uczelnię, odpalamy ulubionego audiobooka lub wkręcamy się w świetny muzyczny album. Już na miejscu, przez następnych parę godzin, korzystamy z komputera lub nadal jego mobilnej wersji. Gdy trzeba

gdzieś dotrzeć, włączamy aplikację wyszukiwającą połączenia komunikacji miejskiej, znajdujemy optymalną trasę i rozkłady jazdy. Nie chcemy się trudzić? Nic prostszego, zamawiamy szybki przejazd. Dalsze przykłady można by mnożyć i mnożyć bez końca. Sami na pewno świetnie zdajecie sobie sprawę ze znaczenia technologii oraz postępu, jaki na naszych oczach wciąż się dokonuje (choć w praktyce

to bardziej ulepszanie już znanych urządzeń i mechanik).

Wyobrażacie sobie, jak to jest przeżyć choć jeden dzień bez smartfona lub internetu? To dopiero byłby dramat! Gdzie znajdziesz newsy, skoro nie masz telewizora ani radia? Jak znajdziesz najlepszy sposób dojazdu w dane miejsce? Skąd weźmiesz informacje potrzebne do projektu, przy którym właśnie w tej chwili pracujesz?



Kiedys trzeba było ufać analogowym czynnościom i przedmiotom. Z mapą w ręku szukało się miejsc, by poszerzyć wiedzę siedziało się nad masą książek w bibliotekach; nawet prasę kupowało się każdego dnia chętniej. Było trudniej, a jednak ludzie jakoś funkcjonowali. Mało tego, byli bardziej skorzy do rozmów i poznawania siebie nawzajem. Dziś wystarczy wejść na Facebooka i przejrzeć profil

interesującej nas osoby bez konieczności rozmowy z nią. Gorzej, gdy takie osoby nie mają konta. Gdy np. podczas odwiedzin u babci rozmowa spada na temat "co u niej", przygotowuję się za każdym razem na masę nazwisk jej sąsiadów czy dalszej rodziny, o których nie mam zielonego pojęcia.

Czyżby technologia szerzyła apoplezję i oddalała nas od siebie? I tak, i nie. Z jednej strony codziennie możemy porozmawiać z ponad setką ludzi na różnych forach, grupach facebookowych i innych portalach. Poznajemy masę osób, często oddalonych od nas o wiele kilometrów, choć bywają przypadki nawiązania kontaktu z kimś mieszkającym w tej samej miejscowości, a nawet ulicy. O ile kiedyś musieliśmy mieć szczęście spotkania takich osób (pojęcie "w realu" nie istniało), o tyle dziś wystarczy parę kliknięć, by nawiązać nową znajomość.

Negatywy? Być może, w niektórych przypadkach, większe rozleniwienie, czyli skłonność do "stukania" w telefon zamiast spotkania w rzeczywistości, choć nie wyolbrzymiałbym tego problemu zbędnym generalizowaniem.

Może więc technologia nas nie tyle dzieli, co właśnie rozleniwia?

Trochę tak. Jeśli szukamy butów czy kurtek, to najczęściej dzieje się to właśnie w internecie (a potem dziwimy się, że odzież przyszła w złym rozmiarze i trzeba ją odsyłać sprzedawcy). Za kilka kliknięć więcej znajdziemy nawet usługi dowozu artykułów spożywczych czy użytku domowego, co nieraz oszczędza nam kolejkowych nerwów oraz czasu.

Aplikacje w "smartfono-iPhone'ach" pozwalają nam skutecznie rozporządzać, zwłaszcza tym ostatnim. Działamy szybciej, wydajniej; zostaje nam więcej cennych minut, które możemy zmarnować na coś innego. Niestety, im częściej z nich korzystamy, im lepiej się z nimi czujemy, tym bardziej odczuwamy ich brak przy awarii sprzętu. Wystarczy, że na godzinę wyłączą prąd, wraz z nim padnie Wi-Fi, przez co nie będziemy umieli znaleźć dla siebie zajęcia w nagle powstałym czasie

wolnym, i produktywność drastycznie spadnie.

Tak, jesteśmy niewolnikami sprzętów. Do tego stopnia zaczęły nam ułatwiać życie, że dzisiaj bez nich wszystko się komplikuje. Nie wspominam tu o portalach, słabnących forach, e-mailach czy kontaktach poprzez komunikatory. Mówię nie o uzależnieniu psychicznym, co funkcjonalistycznym, sprawnościowym. Internet potrzebny nam jest do wszystkiego, a jeszcze lepiej, gdy mamy go mobilnie w dotykowych telefono-komputerach.

Jesteśmy więc w technologicznej pułapce – co dalej? Niestety, obawiam się, że wszystko już w takiej formie pozostanie. Wystarczył będzie wtedy jeden, mały impuls elektryczny, a nie tylko nasze powietrze, życie i zdrowie będą zagrożone, lecz przede wszystkim nasza zdolność do przetrwania. Bez prądu nie będzie światła, nie obsłużymy mikrofalówki, jedzenie w lodówkach się zepsuje, kontakty się pourywają (bo nawet zwykłe telefony przestaną działać). O internecie będziemy sobie mogli tylko pomarzyć, bo kompletne odcięcie od świata i nieprzebranych zasobów wiedzy to dla nas "kaplica", kaput.

Tylko, czy nas to przeraża, skoro już dziś, w czasach pokoju i w miarę wysokiego poczucia bezpieczeństwa, tracimy głowę, gdy gubimy się w nieznanym nam mieście, a bateria w telefonie właśnie się wyczerpała? Jak kupić bilety? Jak dojść do miejsca docelowego?

Jesteśmy społeczeństwem cyfrowym. Nie zmienimy tego. Teraz to my uczymy "starodatowiczów" obsługi technologii. A oni coraz rzadziej przekazują nam im tylko znane metody przetrwania. Szkoda tracić czas i siłę na pisanie możliwych scenariuszy "Cybergeddonu". I tak pokona nas nasze własne dziecko, obrócone przeciw swoim użytkownikom. Jak kiedyś starszym wystarczyła do tego broń czy energia atomowa, tak dziś wystarczy odciąć Wi-Fi.

■ **Mateusz Matłok**

W drodze po szczęście

Za dwadzieścia lat bardziej będziesz żałował tego, czego nie zrobiłeś niż tego, co zrobiłeś. Więc odwiąż liny, opuść bezpieczną przystań. Złap w żagle pomysłyne wiatry. Podróżuj, śnij, odkrywaj.

Mark Twain



„Jeśli raz spróbujesz podróżować autostopem, to już nie będziesz mógł się zatrzymać” – twierdzą doświadczeni autostopowicze.

Od razu na myśl przychodzi ciekawe zdanie: „Jeśli nie jeździsz autostopem w wieku dwudziestu lat – nie masz serca. A jeśli jeździsz w wieku trzydziestu, to nie masz rozumu”. Ktoś wybiera taki sposób podróży, aby zaoszczędzić na drodze, a ktoś dla nieobliczalnych przygod. Mogą tylko domyślać się, jaki samochód ich zabierze, kto będzie siedział za kierownicą i jak szybko będą w stanie dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Romantyczność takiego podróżowania polega na tym, że w odróżnieniu od zaplanowanych podróży samochodem lub autobusem, autostopowicze odkrywają przed sobą

nieznane ścieżki, nowe drogi i piękność przyrody, poznają nowych ludzi i ćwiczą języki obce. Nie przeraża ich pytanie: gdzie dziś będą spać ani co jeść, gdy w kieszeni średnio na podróż mają od dwudziestu do stu euro. Ich cel: odwiedzić jak najwięcej krajów i uzyskać wiele niezapomnianych wspomnień.

Po anonimowej ankiecie LiveJournal, okazało się, że liczba miłośników podróży autostopem z każdym rokiem zwiększa się. O ile wcześniej tak podróżowali głównie studenci, teraz dołączają do nich ludzie dużo starsi, twierdząc, że w drogę wzywa ich pragnienie romantyki. Wyniki ankiety prezentowały się w taki sposób: 18-25 lat – 73%, 25-30 lat – 16%, 30-40 lat – 5%, powyżej 40 lat – 6%. Statystyka

badania wykazała także rozróżnienie płciowe: 65 % stanowią mężczyźni i 35% kobiety.

„Moja podróż autostopem rozpoczęła się w Krakowie, pierwszym krajem była Słowacja. Przekraczając granicę, większą część drogi szliśmy, nawet nie łapałismy samochodów, bo nas otaczała nieopisana piękność gór, lasów, nie mogliśmy oderwać oczu i oczywiście rąk od naszych smartfonów. Jadąc do innego kraju warto poznać nie tylko stolicę, ale koniecznie trzeba wybrać się poza miasto i zobaczyć resztę piękna, zrobić to można zupełnie za darmo” – mówi Vladimir o swojej pierwszej przygodzie, dodając z uśmiechem: „Zacząć robić coś nowego w życiu zawsze bywa ciężko, bo człowiek się boi. Najważniejsze to

przez ten strach przekroczyć, przestać się bać, a dalej... a dalej coś będzie»,

Takie podróże zmuszają do wyjścia ze swojej strefy komfortu i stania się bardziej zdecydowanym. Jak złapać samochód na drodze, by cię nie potrącił? Jak ukryć się przed policją, która chce cię ukarać za to, że nielegalnie stoisz na poboczu? Jak uciec od dziwnego kierowcy lub przejechać z nim jeszcze sto kilometrów? Jak się wydostać z nieznanej osady, do której przyjechał przez pomyłkę? Co zrobić, jeśli utkniesz na drodze w nocy i gdzie zatrzymać się na noc w nowym miejscu? Prawie co godzinę pojawiają się nowe pytania.

„Wiosną ubiegłego roku zdecydowałem podróżować autostopem po Europie, tak jak wśród moich znajomych chętnych nie było, w drodze zapoznałem się z ludźmi, z którymi podzieliłem swoją podróż, która trwała dziesięć dni. Przez ten czas odwiedziliśmy Słowację, Węgry, Słowenię, Austrię, Czechy, Niemcy, choć najwięcej czasu poświęciliśmy na drogę. To była wiosna i mało kto oprócz nas podróżował autostopem, więc staliśmy na trasie przez dziesięć godzin. Byliśmy dobrze zorganizowani i przez to dzieliliśmy się po dwie-trzy osoby, bo wszyscy do jednego samochodu się nie zmieściliśmy. Po raz pierwszy podzielił się na drodze do Węgier, byłem z dziewczyną i autostop do Budapesztu zajął u nas więcej doby, a dokładniej 27 godzin, zamiast sześciu, które moglibyśmy spożytkować, dojeżdżając autobusem. Byliśmy bardzo zmęczeni, ale te cierpienia były tego warte.” – śmiejąc się mówi Vladimir, wspominając swoją wycieczkę do Budapesztu.

„Podwiezicie do przodu po drodze, jak to możliwe...”, – to, co warto mówić zatrzymującemu się kierowcy, uśmiechając się – radzi mój rozmówca. – „Najważniejsze dla autostopowicza zaprzyjaźnić się z kierowcą. Od niego można dowiedzieć się o kulturze i zwyczajach kraju, usłyszeć niesamowite historie, dowiedzieć się co cię

może czekać dalej i uzyskać niezbędne porady. W każdym razie rozmowa pomaga przedłużyć podróż. I ciągle trzeba jechać: przyjedziesz nawet sto kilometrów, ale tak chociaż zwiększasz ilość samochodów, które mogą podwieźć cię dalej.»

Ale jak to się mówi, być paranoikiem – zasada jednego autostopowicza. Oczywiście, podróżować samemu nie zawsze jest bezpieczne, zwłaszcza jeśli jest to dziewczyna. Często negatywnie myślą o kierowcach, którzy mogą zatrzymać się na drodze. „Czy będą prosiły pieniądze, kiedy dowiozą do odpowiedniego punktu? Czy nie zawiozą do lasu? Czy nie będą mnie zaczepiać?”.

„Zaczynaliśmy z chłopakiem swoją podróż na półwysep bałkański z Ukrainy, tak jak samochody częściej zatrzymują się przed hitchhikerami-dziewczynami, postanowiłam złapać samochód, mój chłopak stał niedaleko mnie. Przez jakiś czas zatrzymuje się samochód, z niego wygląda mężczyzna lat 40-50, zaczyna mnie podrywać i zadawać różnego rodzaju pytania. Odpowiadam mu, że podróżuję z chłopakiem, czy można byłoby podrzucić nas razem? Na co kierowca parsknął z niezadowolaniem, ale w końcu dowiozł. Nie pamiętam dokładnie, ale kiedy nas wysadził, jeszcze prosił pieniądze. To najgorszy człowiek jakiego spotkałam” – dzieli się swoimi doświadczeniami Ivanka, autostopowiczka z doświadczeniem, która odwiedziła około 20 krajów, podróżując nie tylko z przyjaciółmi, ale także samotnie.

Według przeprowadzonego sondażu wśród autostopowiczów różnych krajów, opublikowanego na stronie internetowej LiveJournal, okazało się, że niekorzystnymi krajami do takich podróży są Azja Środkowa, Ukraina, Mołdawia i część Rosji, bo kierowcy mogą nie tylko być niemili, prosić o pieniądze, ale i wprost dobierać się do dziewczyny. Zdarzają się przypadki, gdy takich kierowców można spotkać i w innych krajach, a nie tylko z powyższych, ale zdarza się to znacznie rzadziej. „Ze mną stało się to nie tylko na

Ukrainie, ale, niestety i w Europie też” – mówi dalej Ivanka, – „to była ta sama podróż z chłopakiem, łapałam samochód nieco dalej od niego. Przede mną zatrzymuje się samochód z młodymi chłopakami, było widać, że niektórzy z nich są już pijani. Zaczynają do mnie zagadywać i zapraszać do samochodu, wołając ze sobą na imprezę. «Siadaj na kolana» – mówią mi, bo miejsc w samochodzie nie było. Odpowiadam, że jestem z chłopakiem i pytam, czy są miejsca dla dwóch. W odpowiedzi powiedzieli, że z chłopakiem mnie brać nie będą i odjechali. I to jeszcze nic, bo moją koleżankę zapytali «Ile kosztujesz?»”

Próbując złapać stopa, warto stosować się do przepisów ruchu drogowego, aby uniknąć wypadków. To niby drobiazg, ale wszystko może się zdarzyć. Nie mniej ważne jest, aby w przypadku łapania autostopa w nocy, przy sobie mieć odblaskowe ubranie, aby kierowca przypadkiem nie potrącił pieszego, zwłaszcza, gdy podróżny łapie samochód w pojedynkę. Najważniejsze porady, które dają autostopowicze, to przede wszystkim: „Najlepiej łapcie samochód parami – chłopak/dziewczyna. Przez to, aby dziewczyna się nie bała i żeby sam kierowca chętniej wziął.»

„Chcę poznać nowy kraj, a pieniędzy prawie nie ma...”

Przeprowadzając ankietę wśród studentów, ciekawie było dowiedzieć się, że na pierwszą podróż autostopem popchnął ich brak pieniędzy, a „duch przygody” był już mniej ważny. „Chcę poznać nowy kraj, a pieniędzy prawie nie ma. Jeśli na jedzenie można zaoszczędzić, to najwięcej wydasz na autobus w dwie strony i nocleg w hostelu”, – odpowiadają prawie wszyscy studenci. Aby zdecydować się na podróż autostopem po raz pierwszy, trzeba pozbyć się wewnętrznych barier i obaw typu „Dokładnie dowiozą za darmo? Ktokolwiek będzie robił za darmo!” – przecież początkowo w tym nie ma żadnej pewności. Dopiero później rozumiesz, że to zupełnie normalny sposób poruszania się, który cieszy się popularno-

ścią niemal we wszystkich krajach na świecie. „Mój pierwszy autostop był zaplanowany. Zabrałem do plecaka powerbank, namiot, śpiwór, dokumenty, dwieście euro i karty na wszelki wypadek. Rozpoczęła się podróż z rodzinnego miasta – Zaporozża. Nie rozumiałem, jak to w ogóle wszystko się dzieje, więc wziąłem tekturkę i napisałem na niej „Dokąd można” i tak rozpoczęła się moja podróż. Spędziłem w drodze pół roku. Teraz wspominam różne ciekawe i śmieszne momenty oraz przewroty losu. Wspominam miasta, które odwiedziłem, morza, w których się kąpałem, ludzi, których spotkałem. Jak wiele wydarzyło się przez ten czas! Wydaje mi się, że przez całe życie tyle nie działo. Byłem w najbardziej zatłoczonym mieście Europy – Stambule i patrzyłem na najwyższą górę tego samego kontynentu – Elbrus. Pamiętam, jak wdychałem zapach marihuany w Amsterdamie. Dobry autostop na Kaukazie i gorszy w Grecji, bogate przyjęcie Czeczenii i zimne noce na Bałkanach. Fiordy Norwegii, białe noce w Szwecji i jeziora Finlandii. Widziałem wieżę Eiffla i Koloseum, współczesne Baku i zabytkową architekturę w Rydze. Uczyłem obcokrajowców rosyjskich przekleństwom i za darmo zjadałem mandarynki w Chorwacji. Przez ten czas dowiedziałem się takich rzeczy, o których nawet nie domyślałem się” – dzieli się ze mną swoją niezapomnianą podróżą Andrzej, planując nową przygodę, – „Nie spocznę, póki nie dostanę się wszędzie” – dodaje.

Autostopowicz to człowiek, który nosi ze sobą swój dom, więc do inwentarza trzeba podejść poważnie. Wszystkie rzeczy najlepiej umieścić w plecaku, wypełnić go w zależności od pory roku, klimatu i czasu trwania podróży. W nim musi być śpiwór, namiot, ciepłe rzeczy, bielizna na zmianę, zapasowa para butów, lampa i trochę leków. Wskazane jest wziąć jedzenie i wodę. Czasami zdarza się, że woda jest jedynym źródłem energii na cały dzień.

„Nie zapomnij wziąć plastrów, bo zostawiłem je w domu, stałem sobie

nogi i musiałem kuleć iść do najbliższej apteki”, – teraz już śmiejąc się mówi Andrzej.

„Obowiązkowo trzeba wziąć deszczowiec.” – dzieli się doświadczeniem Ivanka, – „Kiedy zbieraliśmy plecaki do Islandii, kupiliśmy je w ostatniej chwili. Na czternaście dni naszego pobytu, aż jedenaście były deszczowe co my tam byliśmy»

„Niezbędna rzecz — przenośny akumulator. Oczywiście cały czas w telefonie nie będziesz siedział, a internet kupować za każdym razem drogo, ale na pomoc przyjdzie jakakolwiek darmowa mapa offline.” – radzi Andrzej.

„Jeśli w autostopie jesteś zawsze brudny, to źle. Umyć się można wszędzie. W swoją pierwszą podróż chodziliśmy na basen — tam często puszczają za darmo, gdy wyjaśniasz, że jesteś podróżnikiem, ale nawet jeśli nie, jednorazowa wizyta kosztuje 2-3 dolar. Uważam, że to dobra cena. Latem można popływać na plaży” – dodaje Michał.

„Lepsza sofa na stacji benzynowej niż ławeczka na mrozie”

I tu na pewno początkujący autostopowicz zastanawia się „A gdzie nocować? Przecież pieniędzy na hostel nie mam”. W dobie internetu można znaleźć wszystko co zechcesz, a bezpłatny nocleg nie jest wyjątkiem. Teraz istnieje wiele stron internetowych dla „gościnnych turystów”. Jedną z najbardziej popularnych – Couchsurfing. Jej zaletą jest to, że daje możliwość w pełni dowiedzieć się o kraju, gdzie jesteś, można zobaczyć, jak żyją ludzie, jak ogrzewają mieszkania i gotują obiady. „Choć tu też trzeba uważać. W Argentynie mieszkalem w eleganckiej willi, gdzie jadłem mięso z grilla i piłem wino w cenie mniej niż tysiąc dolarów za butelkę. Ale przy tym można dostać się do studentów lub narkomanów. Trzeba zwracać uwagę na zasady — u niektórych poważnie napisane, że w ich domu trzeba chodzić nago lub spać na jednym tapczanie z gospodarzem.” – opowiada Michał, który odwiedził już pięćdziesiąt krajów i był w wielu sytuacjach.

Człowiek, który przyjmuje gości przez Couchsurfing musi być, jak to mówią Amerykanie, „openminded”, czyli być otwartym na nowych ludzi — nie każdy wpuści do domu obcych. Jeśli z darmowego pobytu nici, na pomoc przyjdzie namiot lub śpiwór, bo w wielu krajach dla takich turystów są kempingi. Dla najbardziej zdesperowanych autostopowiczów istnieje możliwość przenocowania na stacji benzynowej lub w całodobowej kawiarni, chociaż tylko wtedy, jeśli krzywe spojrzenia personelu i odwiedzających nie są dla nas problemem. Ale w ostatnim czasie podróże autostopem stały się tak popularne, że mało kogo to dziwi. „W zeszłym roku pojechałem z przyjaciółmi do Pragi i oczywiście wzięliśmy bardzo mało pieniędzy. Po przyjeździe cały dzień spacerowaliśmy i zupełnie nie myśleliśmy o tym, gdzie będziemy spać. Do autobusu było jeszcze 15 godzin, więc można było wybrać się na spacer po mieście w nocy, ale nie gdy na ulicy mróz. Postanowiliśmy, że zostaniemy na noc w czynnym przez całą dobę McDonalds.” – opowiada Oleg o swojej pierwszej podróży do Europy.

Autostop jest zatem doskonałym sposobem na podróż, w którym masz niesamowitą okazję zobaczyć piękność tego wspaniałego świata swoimi oczami, poznasz nowych ludzi, słuchać historii z pierwszej ręki. Wiesz, że na świecie są dobrzy ludzie, którzy nie zostawią cię w potrzebie i pomogą ci, niezależnie od twojego koloru skóry, narodowości czy płci. Wiesz, że bariera językowa nie jest problemem i dlatego, żeby zobaczyć świat nie zawsze trzeba mieć w kieszeni miliony, wystarczy tylko chęci. Najtrudniejsze – zacząć, a dalej nie zauważysz jak zaczniesz płonąć pragnieniem, aby zobaczyć więcej i nie spoczywać na laurach. „Moja rada – podróżuj, z kasą i bez, samolotem lub autostopem, w pojedynkę i dużą spółką. To tego warte! To okazja, aby zobaczyć całą paletę życia na naszej ogromnej planecie” – mówi na koniec Ivanka.

• **Valeriia Yalukova**

Blaski i cienie modelingu

Yulia Pavliuk jest jedną z najbardziej charakterystycznych twarzy w polskim modelingu. Wprawdzie urodziła się na Ukrainie, a teraz rozpoczyna nowe życie pod Alpami, ale nasz kraj uważa za swój drugi dom. Tu mieszkała przez ostatnie lata, skończyła studia i spotkała miłość życia. A dzięki agencji Model Plus jej kariera modelki wystartowała z impetem i zaprowadziła ją na wybiegi najlepszych projektantów. Z Yulią rozmawia Maryna Lozan.



- W branży jesteś zaledwie dwa lata. Jak to się wszystko zaczęło?

Przez przypadek. Studiowałam na SGH (Szkoła Główna Handlowa w Warszawie – przyp. red.), a niedaleko znajduje się siedziba agencji. Zostałam zauważona, kiedy przechodziłam z innego budynku kampusu do drugiego. Na „dzień dobry” zapytano mnie, w jakiej agencji jestem (śmiech). Umówiliśmy się na rozmowę po zajęciach, ale napisano mi jeszcze sms, żebym na pewno przyszła, bo to nie był żart. Zapewniono mnie, że nie będę mieć problemu z kontynuowaniem nauki, bo sporo pracy jest w Polsce. Jednak potem doszły *fashion*

weeks... Choć, z drugiej strony, w swoim pierwszym sezonie „zrobiłam” tylko Paryż i dwa pokazy w Londynie (śmiech).

- Tylko? Przecież otworzyłaś wtedy pokaz Lanvin (paryski butik – przyp. red)...

No tak (śmiech). To wszystko było dla mnie bardzo zaskakujące, bo wcześniej debiutowałam na wybiegu otwierając pokaz Paula Smitha.

- Wcześniej, interesowałaś się w ogóle modą?

Nie za bardzo. Ale kiedy kończyłam szkołę na Białorusi, zaczęłam się interesować modelingiem. Niestety, funkcjonuje tam tylko jedna większa

agencja i nie ma za dużo pracy w tym zawodzie, dlatego od razu powiedzieli mi, że powinnam wyjechać do Nowego Jorku. Byłam wtedy nastolatką, nie widziałam w tym za bardzo sensu. Agencja miała bardzo dużą prowizję i nawet nie wiedziałam, ile mogę zarobić. Zdecydowałam więc, że zostanę i pójdę na studia. Ostatecznie zapomniałam o temacie, choć w czasie wycieczki do Amsterdamu scout z jakiejś małej, zupełnie nieznanej agencji, próbował mnie namówić na modeling. Z Model Plus było zupełnie inaczej. Od razu sprawdziłam, że są profesjonalni i mają bardzo dobre opinie.

- Na stronie agencji widniejesz jako Sasha, ale wiem, że nazywają Cię także Aleksandrą. Jak to jest?

Całe życie byłam Yulią – tak mówią do mnie rodzice. Na Białorusi to zdrobnienie od Aleksandry. Dopiero po przeprowadzce do Polski zaczęłam reagować na oba imiona. Wydaje mi się jednak, że Sasha bardziej do mnie pasuje i... mnie wyróżnia, bo jest już kilka modelek o imieniu Ola (śmiech).

- Urodziłaś się na Białorusi i...

- Po skończeniu liceum najpierw wyjechałam na Malte, a później przeprowadziłam się do Polski. Chciałam wtedy mieszkać gdzieś, gdzie jest ciepło i gdzie jest morze...

- ...więc wyładowałaś w Polsce?

(śmiech) Okazało się, że Malta to nie jest moje miejsce. Nie dość, że za daleko do domu, to jeszcze nie było to tak zachwycające miejsce, jak mi się wcześniej wydawało. Ale nauczyłam się tam angielskiego, popracowałam trochę i wymyśliłam, że pouczę się bliżej, gdzie mówi się innym językiem, choć w gruncie rzeczy bardzo podobnym. Z Warszawy miałam do domu 200 km – bliżej niż wielu Polaków.

- Skończyłaś ekonomię międzynarodową. Na czym chcesz się teraz skupić? Planujesz się dalej uczyć?

Coś za coś. Wcześniej myślałam, że da się połączyć modeling ze studiami, ale na pewnym poziomie to niemożliwe. Dlatego nie przedłużałam studiów i skończyłam je planowo. Chcę się dalej uczyć, ale trochę później. Teraz skupię na modelingu i nauce języka niemieckiego.

- No właśnie, przeprowadziłaś się do Niemiec...

Polska zawsze będzie dla mnie drugim domem i na pewno jeszcze tu wrócę. Jestem spontaniczna i mogę wyjechać gdzieś na kilka lub więcej lat, jeśli jest okazja; gdzieś popracować lub czegoś się nauczyć. Choć co jakiś czas zmieniam miejsca zamieszkania, to nie jestem typem nomady. Lubię mieć swój dom i swój ogród – ostatnio bardzo mnie to pasjonuje!

- Zapytam inaczej: niedawno wzięłaś w Niemczech ślub, to stąd

ta przeprowadzka?

Ślub był niespodziewany, ale bardzo udany. Swojego męża spotkałam dosyć dawno, kiedy Kevin był w Warszawie na Erasmusie. Zakochał się i dla mnie przeprowadził do Polski, a teraz była moja kolej, żeby zrobić to samo dla niego.

- Wróćmy do modelingu. Od razu trafiłaś do świata wielkiej mody.

Wiele modelek, zanim wyjedzie za granicę, musi najpierw sporo popracować w kraju. Trafiłam do dobrej agencji, także poza Polską. Od samego początku nie nastawiałam się za bardzo i nie robiłam założeń, że albo wszystko, albo nic. Nic mnie więc nie rozczarowało, ani nie zaskoczyło. Staralam się robić to, co ustalała agencja. Tutaj nie ma czarowania – trzeba pracować i tyle.

- Na wybiegu masz tremę?

Na pierwszych pokazach miałam ogromną! Zwłaszcza, że o tym, iż otwieram Paula Smitha dowiedziałam się chwilę przed. Wcześniej szłam kilka razy na wybiegu w Polsce, ale to był pierwszy za granicą! Przeżycie! Później było już OK – jeżeli ktoś idzie przed tobą, to trzymasz jego tempo, i tyle. Na Lanvin z kolei nikt się nie stresował, bo Alber Elbaz (wtedy jeszcze dyrektor kreatywny marki – przyp. red.) wprowadzał rodzinną atmosferę i było super przyjemnie. Tuż przed moim wyjściem na wybieg podszedł do mnie i zapytał, czy się stresuję, i czy powiedziałam mamie o tym, że wychodzę pierwsza (śmiech).

- Mówisz, że przyjemnie, z poczuciem humoru, luźno. Tymczasem na temat tego świata krążą różne opinie.

To zależy od podejścia. Jeśli wchodzisz na backstage wściekła jak osa, to nikt nie będzie ci opowiadać żartów. Trzeba mieć dobrą energię, żeby wzajemnie się nią wymieniać. Miałam kiedyś casting do Diora; trwał cały dzień, co dla mnie, osoby bardzo dobrze zorganizowanej, jest zupełnie niezrozumiałe. To po prostu strata czasu, czemu nie można tego zrobić inaczej? Ale rozumiem też, że trzeba to sobie jakoś samemu rozplanować: wpisać się na li-

stę, pójść coś zjeść, poczytać książkę, cokolwiek... Jeszcze bardziej niepojęte są dla mnie narzekania dziewczyn, np. na niewygodne buty. Ja wychodzę z założenia, że jeżeli już znajduję się w takiej sytuacji, to muszę z niej wyciągnąć wszystko, co najlepsze. Nie stresuję się, bo wiele rzeczy ode mnie nie zależy. Czasem się nie spodobaś, czasem jeden look wypadnie, a potem ktoś się w coś nie zmieści i, koniec końców, jednak dostaniesz tę pracę. Za dużo czynników ma wpływ, by się obwiniać, że to w nas tkwi problem i my popełniliśmy błąd. Przecież tym wszystkim w sumie rządzi przypadek.

- Jak tak dobrze zorganizowanej osobie udało się więc odnaleźć w branży?

Jestem typem zadaniowca: widzę listę rzeczy do zrobienia i po prostu je robię. Planuję, sprawdzam jakie lokalizacje są obok siebie i decyduję, co będzie po czym. Jestem umysłem ścisłym, więc jakoś to ogarniam (śmiech).

- Obecnie możemy oglądać Cię w kampanii polskiej marki Solar. Jak oceniasz tę współpracę?

Kampania wyszła przepięknie! Współpraca była przemiła, a kolekcja ciepła, jesienna, elegancka i bardzo komfortowa. Powstał do niej także film, który naprawdę warto zobaczyć, bo wyszedł fantastycznie. Z nowej kolekcji marki posiadam piękną, szarą, moherową narzutkę, której nie zdejmuję. Jest idealna na jesienne wieczory.

- Wyjazd z Polski nie oznacza więc rezygnacji z modelingu?

Oczywiście nie rezygnuję, chociaż ze względu na studia nie mogę też powiedzieć, że kiedykolwiek pracowałam w modelingu full-time, więc nawet nie wiem, jak to wygląda w przypadku dziewczyn, które zajmują się tym zawodowo. Planów mam mnóstwo. Intensywnie uczę się niemieckiego, chciałabym także zostać młodą mamą i popracować w modelingu lub w swoim zawodzie jeszcze przed dalszymi studiami. Na razie jednak dużo z mężem podróżujemy i nie możemy się sobą nacieszyć!

■ **Marine Lozan**

Nowoczesne kształcenie nauczycieli na kierunku pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna



14 marca 2019 r. pomiędzy Krakowską Akademią im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego a Narodowym Centrum Badań i Rozwoju została podpisana umowa na dofinansowanie projektu w ramach Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020 pn. **Nauczyciel 5.0 nowoczesny program kształcenia nauczycieli na jednolitych studiach magisterskich w dziedzinie pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej**. Wartość projektu wynosi 1 785 603,60 PLN, w tym dofinansowanie z Funduszy Europejskich – 1 504 906,71 PLN. Celem projektu jest podniesienie jakości kształcenia na studiach nauczycielskich w dziedzinie pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej w oparciu o nowoczesne metody pedagogiczne, oraz zastosowanie narzędzi cyfrowych określonych w nowym modelu kształcenia nauczycieli przedszkoli i edukacji wczesnoszkolnej (opracowanym przez Zespół przy MNiSW z dn. 31.01.2018 r.).

Projekt będzie realizowany w systemie jednolitych studiów magisterskich w formie niestacjonarnej, począwszy od roku akademickiego 2019/20, przez 4 kolejne lata. Wsparciem objęci zostaną studenci obecnego pierwszego roku na kierunku Pedagogika na Wydziale Psychologii i Nauk Humanistycznych KAAFM, którzy pozytywnie przejdą proces rekrutacyjny do projektu. Rekrutacja zaplanowana jest w okresie od czerwca do września br. Obecnie trwają końcowe prace nad stworzeniem nowego programu studiów, który w szczególności wyróżniać się będzie:

- zwiększeniem liczby godzin przeznaczonych na zajęcia praktyczne, prowadzone przez specjalistów (zwłaszcza dotyczące metodyki prowadzenia zajęć);
- lepszym przygotowaniem przyszłych nauczycieli w zakresie treści podstawowych (język polski, matematyka, przyroda, informatyka, plastyka, muzyka, wychowanie fizyczne, edukacja zdrowotna);
- zapoznaniem z nowoczesnymi metodami pracy z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych;
- wyposażeniem w umiejętności innowacyjnego prowadzenia zajęć według metod alternatywnych (np. metoda Marii Montessori);
- kształtowaniem podstawowych wartości w ramach dodatkowego modułu wychowania przez sztukę wykorzystującego założenia (opracowanego na kierunku pedagogika) międzynarodowego modelu pracy z uczniem zdolnym plastycznie „Nauka-Sztuka-Edukacja”;
- wyposażeniem w umiejętności pracy z nowoczesnymi środkami dydaktycznymi zwłaszcza w obszarze szybko rozwijającej się technologii komunikacyjnej (dzięki nowocześnie wyposażonym pracowniom dydaktycznym);
- kształtowaniem prawidłowych zachowań medialnych, poprzez uczestnictwo w zajęciach realizowanych w laboratorium medialnym (z wykorzystaniem kamery filmowej);
- dobrze zorganizowanym systemem współdziałania opiekuna praktyk nauczycielskich z licznymi przedszkolami i szkołami;

- przygotowaniem przyszłych nauczycieli do planowania i realizacji zadań o charakterze samorozwojowym poprzez uczestnictwo w procesie personalizacji kształcenia.

W celu zachowania najwyższej jakości kształcenia i zapoznania przyszłych nauczycieli z nowoczesną technologią wykorzystywaną we współczesnej dydaktyce, zostaną utworzone trzy pracownie: 1. Pracownia Marii Montessori, 2. Pracownia edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej, 3. Laboratorium mikronauczania (autoskopii).

Współcześnie wymaga się od nauczycieli, zwłaszcza nauczycieli dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym, kompleksowego przygotowania do wykonywania zawodu. Zapewni go realizacja studiów stworzonych według innowacyjnego pomysłu nauczycieli akademickich KAAFM, kierunku Pedagogika. Nowoczesne studia oparte są na bazie modelu kształcenia nauczycieli będącego efektem licznych dyskusji społecznych.

Zawód nauczyciela należy wciąż do najbardziej prestiżowych zawodów, cieszących się wysokim zaufaniem, wymaga zatem uważnego przygotowania w procesie kształcenia akademickiego, opartego nie tylko na wiedzy i kształtowaniu umiejętności metodycznych, ale przede wszystkim na długotrwałym rozwijaniu kompetencji społecznych.

mgr Aneta Rapkiewicz

(koordynator projektu)

dr Joanna Aksman

prof. nadzw. dr hab. Jan Wnęk

(opiekunowie merytoryczni kierunku)



Fundusze Europejskie
Wiedza Edukacja Rozwój



Rzeczpospolita
Polska

Unia Europejska
Europejski Fundusz Społeczny



Powiedz szczerze:

**czy wiesz, co będziesz
robić za kilka lat?**

Prawda jest taka, że tego nie wie nikt.

Dlatego

**NIE STRAĆ SZANSY
na lepszy start!**

Zdobądź cenne doświadczenie
zawodowe już na uczelni!

Do tego łatwo, miło i przyjemnie!

Dołącz do redakcji **MIXERA**
i zdobądź ceniony wpis do CV!

UWAGA! To nieważne, na jakim
kierunku studiujesz!

NAPISZ TERAZ NA ADRES:
gazetamixer@gmail.com